Nr. 50 (1198). Warszawa, 29 Listopada (12 Grudnia) 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za posrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Od Redakcyi.

Szanownych Abonentów prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty, która nam pozwoli w porę zadość uczynić ich żądaniom.

POLITYKA.

Orędzie Roosevelta

Według konstytucyi wielkiej Rzeczypospolitej amerykańskiej w pierwszy poniedziałek grudnia zebrały się obie Izby kongresu. Prezydent, jak wskazuje zwyczaj konstytucyjny, powitał je orędziem, które też, jak zwykle, wyłuszcza stan gospodarstwa społeczno-politycznego, prowadzonego przez władzę wykonawczą państwa i samo rządzone, a raczej rządzące się w granicach prawa społeczeństwo, wskazuje potrzeby i zadania polityki, organiającej całość wszystkich interesów, dążeń i celów wspólnych wielkim gromadom społecznym, zajmuje się stosunkami międzynarodowymi i zawiadamia o stanie spraw bieżących w ich zakresie—słowem, daje to samo, co mowy tronowe w Europie. Orędzia republikańskie—powiedzieć to trzeba—coraz bardziej zbliżają się do europejskich: mięknie w nich ton głębszy i szczerszy; coraz głośniej dźwięczy nuta powściągliwości właściwej stosunkom konwencyonalnym, w których słowo służy raczej do ukrywania, niż do wypowiadania myśli i uczucia, a ogólniki nazewnątrz wszystko mówiące, a wewnątrz czcze zastępują śmiało, pod analitycznem działaniem rozumu wyrosłe przekonania.

Przedewszystkiem zawiadamia Roosevelt o utworzeniu umyślnego departamentu handlu i rolnictwa. Opieka społeczna nad niemi musiała być niedostateczną, jeżeli ją teraz ustanawia od siebie państwo. Rząd pragnie wzmocnić handel tak wewnętrzny, jak i zewnętrzny, podnieść i przemysł i rolnictwo, a poprzez zagadnienia czysto-ekonomiczne ostatecznie sięgnąć dalej — z jednej strony uporządkować stosunek robotników do przedsiębiorców, z drugiej ograniczyć szkodliwą immigracyę. W dawniejszych czasach oba te kręgi życia wirowały poza obrębem władzy państwowej, tak wykonawczej, jak prawodawczej. Za naszej już pamięci, stosunkowo niedawno, zaczęto uszczuplać nieograniczone przedtem prawo gościnności, którem słynęła ziemia amerykańska; teraz przychodzi kolej na kwestyę robotniczą, na socyalizm państwowy, bismarkowski. Cała samodzielność społeczeństwa, w Ameryce rzeczywista, nie złudna, żywa, nie papierowa, nie wystarczyła na wprowadzenie ładu w wielką kwestyę ekonomiczną, która jest zarazem i kwestyą psychologii zbiorowej, psychologii tłumów. Rząd—wyraz dotychczas nieużywany przez Blade twarze — ogłasza upadłość autonomii społecznej i sam bierze na siebie prowadzenie jej spraw.

Sprawy te przedstawiają mu się pod osobliwszym kątem widzenia. Ogólne dobro ekonomiczne, wyrażające się w zbieranych bogactwach, nakazuje mu popierać *trusty*, zmowy kapitalistyczne dla utrzymania wyrobów i surowic, występujących na rynku wielkiemi masami, w cenie jak najwyższej, zarówno w kraju, jak zagranicą. Szczególny zaś wzgląd na prawa jednostek i warunki pracy, dobijającej się coraz większego równouprawnienia z kapitałem, zaleca temuż rządowi popieranie związków robotniczych. Pomyślność czysto-ekonomiczna leży Rooseveltowi na sercu. Gdy wszyscy biegną do mety, niepodobna nóg sobie pętać. Umyślna komisya zbada złe i dobre warunki, w jakich rozwija się marynarka handlowa Stanów Zjednoczonych, a rząd z jej badań skorzysta odpowiednio do narzucających się potrzeb. Wywóz jest podstawą pomyślności, i wzmocnienie go też stanowi cel rządu. Szeroko i długo prawi prezydent o walucie, tym przed kilkunastu laty wyłącznym prawie temacie orędzi prezydenckich, i zamyka sąd swój o niej w słowach, zalecających utrzymanie dotychczasowego systematu, bimetalizmu.

Cieszy Roosevelta oddanie kwestyi wenezuelskiej pod trybunał w Hadze. Bardzo się on przydał; oby tylko za jednym dobrym przykładem poszły inne! Na sam koniec zostawił sobie prezydent sprawę bieżącą. W niej już był nie układnym, nie konwencyonalnym, nie ukrywał swej myśli, powiedział z amerykańskiego serca, co mu amerykańskie serce podyktowało. Nietylko bierze na sumienie swoje z całą odwagą odpowiedzialność za sposób, w jaki załatwił sprawę panamską, ale przekonany jest, że inne jej załatwienie byłoby i nierozsądnem i zbrodniczem. „Dopuściłby się zbrodni względem narodu“, gdyby nie wywołał rewolucyi w Istmijczykach, nie oderwał ich od ojczyzny kolumbijskiej, nie podarł umowy, której Kolumbia podpisać nie chciała, nie zawarł nowej z nowem państewkiem podstawionem za nią, i zyskując dla Stanów Zjednoczonych kanał, nie zyskał zarazem i gruntu pod stopą północno-amery-

kańską w Ameryce środkowej, i stanowiska międzynarodowego tam, gdzie żadne inne ostałćby się nie zdołało. Ta „zbrodnia niemocy“, o której prawi prezydent, jest również w Ameryce republikańskiej nowością. W głębi umysłów i serc amerykańskich jako antyteza kształtuje się już „cnota siły“: prezydent czuje już całą jej zacność i dlatego niemoc nazywa zbrodnią. Cnotą jest korzystanie z siły, zbrodnią poszanowanie prawa—etyka wzruszająca swą prostotą. Jefferson w grobie się przewraca.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sejm niemiecki d. 3 grudnia otwarty mową Bülowa; sam cesarz z powodu choroby zagaić go nie mógł. Prezesem Ballestrem, hakatysta-centrowiec, wiceprezesami Stolberg i Paasche, pierwszy zachowawca, drugi nacyonalista pruski. Deficyt na r. 1894—5 wynosi 60 milionów marek. Koło polskie ukonstytuowało się, z żalem ulegając konieczności przyjęcia pp. Kulerskiego i Korfantego — ludzi nowych, przytem śmiałych, kiedy oni, ludzie starzy, oglądają się na własne swe cienie, czy im jakie niebezpieczeństwo od rozumnej, logicznej woli nie grozi. Połowa tych przedstawicieli małoduszności dobrze już wysłużyła sobie spoczynek. Nowi po śmierci Głębockiego, tworzą szczupłą garstkę 5—6 osobników, mających jakieś cele i jakąś potrzebę działania. — O zdrowiu cesarza *Köln. Ztng* otrzymała od rządu notę, zapewniającą, że wszystko idzie pomyślnie. Głoszono już, że cesarz jedzie to na Rivierę, to do Meranu; skądinąd znowu, że 18 b. m. ma być w Hanowerze. *Kölnische* widocznie mąci wodę.

W Wiedniu obstrukcya czeska pobudziła p. Jaworskiego do odezwania się w sposób obrażający Czechów. Wyjaśnienie usiłuje zatrzeć obrazę: chodziło o potępienie obstrukcyi, ale nie prawa czeskiego do mówienia po czesku. Zaczęła już drgać sprawa zmiany regulaminu. Koło polskie ją popiera. Poseł Górski zawołał w Izbie deputowanych: „Lepszy oktrojowany regulamin, niż oktrojowana konstytucya.“ Widoki uchwalenia zmiany przez samą Izbę są nikłe. Niemcy domagają się unii celnej z Węgrami, Włosi krzyczą o uniwersytet w Tryeście, Czesi nie odstąpią od uniwersytetu w Bernie, Słoweńcy domagają się autonomii. Posłowie czescy jeszcze nie wytoczyli wielkiego działa: federalizmu — i bez Koła polskiego chyba go na pozycyi nie ustawią, a Koło polskie — uprawia wciąż politykę zbierania ochłapów dla Galicyi.

W Peszcie nakoniec d. 4 b. m. stanął traktat między obstrukcyą a rządem. Tisza zapewnił, że komenda węgierska staje się praktycznym celem rządu, który nadto uznaje prawo sejmu w wojskowości. W stronnictwie niezawisłości Kossuth złożył ster; uchwała zgody zapadła 46 gł. przeciwko 28. Pozostanie tylko jeszcze około 20 nieprzejednanych. Wygląda to świetnie, ale przypomina budowę na lotnym piasku. Trzeba czekać.

Rewizya ponowna procesu Dreyfusa jest na porządku dziennym. Minister wojska zwrócił się już do min. sprawiedliwości, do którego należy wszczęcie sprawy na drodze sądowej. Wyłania się nanowo jako rzeczywisty przestępca Esterhazy. Nacyonalizm się pieni. Zurlinden, Mercier, Cavaignac wiernie mu służą, chcąc zdmuchnąć nowo rozpalane światło.

W Rzymie d. 2 b. m. przedstawił się gabinet Giolittiego sejmowi. a d. 4 b. m. sejm uchwalił mu 284 głosami prz. 117 zaufanie.

W Bułgaryi Zgromadzenie narodowe uchwaliło adres. W Serbii blizki upadek niedawnego Gruicza.

W Hiszpanii przesilenie gabinetowe. Po Villaverdym powołany Maura utworzył już nowy zlepek: San Pedro — spr. zagr., Linares — wojsko, Fernandez — flota, Toca— sądy, Sanchez Gerra — spr. wewn., Dominguez — szkoły, Allen de Sallazar — roboty publ.

Stany Zjednoczone fortyfikują Filipiny.

Anglia myśli już o jakiejś poważnej robocie nad zatoką Perską. Curzon, wicekról Indyj, objechał imama Maskatu, szeików Buszyru i Koweitu, głaszcząc i grożąc. Wyprawa do Tybetu, układana lękliwie, znajduje się jeszcze w okresie rozpoznawczym.

Turcya po pierwszej odpowiedzi z d. 3 listopada dała drugą również wymijającą dnia 22 t. m. Państwa działające nie przyjęły jej nawet do wiadomości: mają wystąpić z *ultimatum* — czy wystąpią? Dążenie do przekazania sprawy koncertowi europejskiemu jest coraz silniejsze, a koncert — to bezwładność. Udał się w Chinach, ale nie udałby się w w Turcyi.

Juan-szykaj mianowany naczelnym wodzem sił zbrojnych chińskich na lądzie i morzu. Siły te są zabawką. Teraz dopiero edykt nakazuje organizacyę „na podstawach narodowych.“ Komisya z trzech ma jej dokonać. W Środku Chin ruch przeciw cudzoziemcom.

W Japonii sejm otwarty d. 6 b. m. Bardzo silne wrzenie w Izbie poselskiej — o Mandżuryę i Koreę. Układy z Rosyą pokryte tajemnicą.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Tow. dobroczynności. — Ich przyszłość. — Samopomoc. — Nowa instytucya. — Braki prowincyi. — Hygiena. — Obojętność społeczeństwa. — Pobytowcy.

Na ogólnem zebraniu dorocznem warszawskiego Tow. dobr. członkowie znowu usłyszeli starą piosnkę o niedoborze. Dzięki prywatnym ofiarom, niedobór tegoroczny w sumie 19,000 rb. został szczęśliwie pokryty, pozostaje jednak jeszcze niedobór z lat poprzednich, a w roku przyszłym przewidywany jest niedobór w sumie 30,000 rb. I dopóki to tak będzie? czy zawsze byt instytucyi, od której zależy utrzymanie tysięcy potrzebujących pomocy, która zawiaduje mnóstwem zakładów publicznych doniosłego znaczenia, będzie zależnym od tak nieobliczalnych rzeczy, jak komitety dochodów niestałych? Czy wiecznie nasza samopomoc społeczna będzie pod znakiem dziadowszczyzny? i nigdy nie wejdzie na tory trwalsze?

Szereg tych pytań mimowoli nasuwa mi się, gdy przeglądam sprawozdania towarzystw dobroczynności, zarówno warszawskich jak i prowincyonalnych. Wyłączam tu towarzystwa żydowskie, nieznane mi przeważnie i, jak dotychczas, nie skarżące się na dolegliwości, obalające niemal towarzystwa chrześciańskie. Zasadniczą cechą tych towarzystw jest, zdaniem mojem, fałszywa zasada filantropii, przekleństwem znów życia naszego fakt, że te instytucye są dotąd zbyt często jedyną w naszych stosunkach formą życia społecznego i samopomocy. Długo jeszcze będziemy musieli czekać, zanim zwolna zostaną zastąpione przez inne, bardziej odpowiednie zarówno warunkom, jak stanowi społecznemu.

Stopniowe przeżywanie się instytucyj dobroczynnych, w połączeniu z niedość szybko i równolegle postępującym rozwojem szerokich warstw ludności i samych zresztą kierowników, zmusza do ciągłego kręcenia się w błędnem kole żebraniny na pokrycie niedoborów, wywołanych tą właśnie żebraniną. Charakter czysto i wyłącznie filantropijny, uporczywe trzymanie się formalistyki, dochodzącej często do śmieszności (w jednem np. z większych miast prowincyonalnych Tow. dobr.

---

6)

Wacław Sieroszewski.

Kawałek Japonii

(Wyjątek z dziennika).

(Dokończenie).

Biorąc na ogół, Japończycy wydali mi się podobni do tych wysoce nieraz utalentowanych malarzy, którzy wyglądają na ograniczonych, ponieważ dusza ich umie się wyrażać jedynie w liniach i barwach: W przeszłości swej Japończycy nie mieli nawet takich mędrców, jak Konfucyusz i Laotse, których myśl, bądź co bądź, ogarniała bardzo szerokie widnokręgi, nie mieli religijnych reformatów i marzycieli... Jako naród malarski przede- wszystkiem dali ludzkości tylko paru świetnych... akwarelistów. Choć pobożniejsi od Chińczyków nie są religijni; buddyzm przyszedł do nich w bardzo już pogańskiej formie chińsko-tybetańskiej, chrystyanizm nie krzewi się, szintoizm — religia narodowa — jest zbiorem dziecinnych legend o bohaterach i wodzach narodowych, podobnym do pierwotnego politeizmu Greków.

— To nawet nie religia! — mówili mi sami Japończycy.

A jednak obserwowałem ich często w hotelach i w ich własnych na wsze strony otwartych domach, jak siedzieli godzinami w głębokiem zadumaniu

— O czem oni myślą? — spytałem raz wykształconego Japończyka. Czy kiedy myślą o życiu przyszłem, o śmierci?

— O nie! to przedmiot zbyt smutny... O tem myśleć należy w starości!

— Więc może myślą o początku rzeczy?

— To strata czasu, gdyż tego nikt nigdy nie pozna...

— Więc może myślą o sobie... o swych uczuciach?..

Japończyk uśmiechnął się sceptycznie.

— Powiem panu prawdę: oni myślą... o interesach!

Przypuszczam, iż tak źle nie jest. Przypominam sobie nawet, że w parę dni po wyjeździe moim z Nikko utopił się w jednym z tamtejszych wspaniałych wodospadów student z Tokio, zostawiwszy na drzewie napis:

„Tu poznałem, że mogę się dowiedzieć jedynie, iż się nigdy niczego nie dowiem!.. Odchodzę więc...“

Ale ten chłopak pono zaczerpnął już dobrze z filozofii europejskiej.

Dusza japońska jest z natury nieco oschła i skłonna do pozytywizmu; uczucia ich są blade i powleczone lekką warstwą sceptycyzmu... Opowiadali mi wprawdzie podróżujący po Europie Japończycy o głębiach niezwykłych, ukrytych w zamkniętej duszy japońskiej, lecz wyznaję, że ani mogłem dopatrzeć się ich śladu, ani dowiedzieć o nich od kogokolwiek...

wydaje żebrakom legitymacye, opatrzone ich fotografiami), zraża wielu ludzi z pośród szerokich mas, które jedynie mogłyby utrzymać chwiejące się i li tylko na nogach Fikalskich różnego rodzaju oparte instytucye. Z drugiej znów strony Towarzystwo nie ma wprost możności zbliżenia się do szerokich mas i stopniowego zdemokratyzowania się. Jednem słowem, ni w prawo, ni w lewo.

Że przechodzące stopniowo w stan anachronizmu towarzystwa dobroczynności będą musiały ustąpić z pola i że ich następcą będzie ruch samopomocy społecznej, możemy być przekonani. Dowodzą tego wciąż nowe fakty szerzenia się ducha współdziałania wśród ludności Królestwa. Do dawniej skwapliwie przez nas notowanych spółek włościańskich przybywają nowe, podane przez pisma prowincyonalne w ostatnich czasach: 28 drobnych właścicieli rolnych ze wsi Jedlnia, Słupica, Zdżary, Piotrowice, Jastrzębia i Siczki, jak donosi *Gazeta Radomska*, zawiązało spółkę rolną pod nazwą „Prawda,“ „celem nabywania nawozów sztucznych, dobrego ziarna siewnego, udoskonalonych narzędzi rolniczych, rasowego inwentarza rozpłodowego, oraz wszelkich przedmiotów, do życia i gospodarstwa domowego potrzebnych, jak również sprzedaży z zyskiem dla wspólników otrzymanego z gospodarstwa zboża, zwierząt domowych i produktów gospodarstwa rolnego i hodowlanego.“ Zarząd stanowi trzech włościan, kasyerem jest również włościanin.

O drugiej tego rodzaju spółce, powstałej w pow. Jędrzejowskim, w gminie Złotniki, donosi *Gazeta Kielecka*. Ta instytucya, „Pszczółka,“ do zwykłych warunków umowy dołączyła projekt wykładów gospodarstwa, pszczelnictwa i tkactwa, które na jej koszt odbywać się będą przy szkole gminnej. W *Kuryerze Sosnowieckim* znajdujemy znowu dzieje stowarzyszenia spożywczego, bodaj pierwszego w kraju, powstałego z inicyatywy i wśród sfery robotniczej. To stowarzyszenie p. n. „Praca“ założył w Czeladzi, po długich usiłowaniach i kilkakrotnych niepowodzeniach z powodu nieumiejętnego wzięcia się do rzeczy, górnik, Adam Zębala, członkami stowarzyszenia są wyłącznie górnicy kopalń okolicznych, w zarządzie zasiadają sami robotnicy. W *Gaz. Kaliskiej* czytamy znów o przesłaniu do zatwierdzenia ustawy nowej kasy wzajemnej pomocy dla zabezpieczenia wdów i sierot po rzemieślnikach i wszelkiego rodzaju ludziach, pracujących zarówno umysłowo, jak fizycznie. Zasadniczą, bardzo korzystną cechą nowej kasy jest paragraf orzekający, że do niej należeć mogą prócz ludności Kalisza także i osoby, mieszkające w innych miejscowościach, „bez różnicy stanu, majątku, płci i religii.“

Nawet staroświeckie, poważne cechy, powoli odczuwają wpływ nowego ducha. Cech szewców lubelskich, jak donosi organ miejscowy, uchwalił na ogólnem zebraniu założyć przy cechu kasę wsparć dla wdów i sierot po członkach. Tą drogą powinny pójść cechy innych miast Królestwa, tem bardziej, że ich ustawy dają możność gromadzenia odpowiednich funduszów bez specyalnych starań u władz.

Może fakty powyższe poruszą ludzi do działania, zwłaszcza że obecnie warunki prawne, w porównaniu z przeszłością, są dość u nas dla tego rodzaju rzeczy dogodne. Szczególniej dla towarzystw współdzielczych w rodzaju włościańskich, mający u nas moc obowiązującą, kodeks handlowy (§§ 47—50) przedstawia przy zakładaniu ogromne udogodnienia prawne.

Tymczasem jednak długo nam przyjdzie czekać tej chwili, kiedy kraj nasz zasiany zostanie mnóstwem zrzeszeń współdzielczych i spożywczych, a dopóki to nie nastąpi, będziemy widzieli słabe interesowanie się sprawami ogółu. Wymownym tego przykładem jest wiadomość, podana przez *Gazetę Kielecką* o zebraniu, zwołanem przez magistrat kielecki w sprawie uporządkowania miasta. Z 48 zaproszonych obywateli stawiło się zaledwie 18, a na drugie przybyło już tylko 6.

Trzeba przytem dodać, że Kielce nie są bynajmniej jakąś wyjątkową Arkadyą pod względem zdrowotnym. Jak podaje wzmiankowany organ miejscowy, $^4/_5$ miejscowych studzien kwalifikuje się do natychmiastowego zamknięcia, jako zawierające wodę absolutnie niezdatną do użytku wewnętrznego; nad ustępami, często bardzo w głównych nawet dzielnicach, mieszczą się mieszkania, asenizacya odbywa się przez spuszczanie części płynnych do rynsztoków ulicznych wśród nocy, lub też przy pomocy deszczu, spłukującego wszystko również do rynsztoków itd. Ale cóż, skoro obywatelom kieleckim z tem dobrze, to szanujmy ich indywidualizm, dopóki... nie usłyszymy głosów całych tysięcy ich lokatorów, niezbyt chyba z tej polityki zadowolonych.

Co do hygieny, to również należałoby za miejscowymi organami dać krótki obrazek jatek i wędliniarni w Piotrkowie i Sosnowcu. W Piotrkowie rzeźnicy sprzedają sobie spokojnie gnijące flaki, a *Tydzień* radby poznać choć jedną taką masarnię, gdzieby nie było brudu, odpadków gnijących i nieporządku. W Sosnowcu znowuż w pierwszorzędnych masarniach kupujący dostają serdelki malowane na odpowiedni kolor, zgniłą wędlinę i często dopiero po sprzedaniu drobnemi porcyami około trzech pudów takiego produktu, ogół spostrzeże się i na czas pewien nadużycie przykróci.

Hygienie w sklepikach wiejskich poświęca kawałek miejsca *Rozwój* łódzki, poruszając zarazem kwestyę, czyby nie należało od czasu do czasu dokonywać rewizyi, istniejących po wsiach, sklepików, w których zawsze prawie można dostać sacharyny, eteru i innych środków lekarskich. Ale zato, jak powiada korespondent wzmiankowanego pisma, zdumiałby się bardzo dr. Serkowski z Łodzi, ujrzawszy nasze piekarnie, urządzone w suterenach, gdy na poziomie ulicy mnóstwo wolnych mieszkań; gdyby obejrzał nasze naczynia od wody sodowej, od niepamiętnych czasów niepobielane; nasze cukierki, barwione aniliną; nasze syropy owocowe, zawierające sacharynę, glicerynę oraz fuksynę, ale natomiast ani śladu owoców, i mnóstwo innych, równie zdrowych rzeczy, które napewno zabiłyby niejednego mieszkańca wsi, gdyby nie odznaczał się takiem kamiennem zdrowiem. Starsze organizmy, jak twierdzi korespondent-lekarz z małego miasteczka, dają sobie radę z temi szkodliwościami, ale ile dzięki tym fuksyno-sacharynowym cukierkom umiera po wsiach dzieci, któż to zliczyć zdoła? Stwierdziwszy, że wszystkich tych towarów, w takim właśnie, lub gorszym jeszcze gatunku dostarczają wiejskim sklepikom małe i duże miasteczka, autor bardzo słusznie dopomina się wskrzeszenia, zapadłych w nazbyt już długie uśpienie, komitetów sanitarnych.

Praca więc nad podniesieniem zdrowotności prowincyi, jak widać z przytoczonych przykładów, których litanię moglibyśmy do nieskończoności przedłużyć, powinna być jednym z najbliższych celów inteligencyi miejscowej.

Tymczasem, o ile sądzić można z głosów prasy prowincyonalnej, jeden tylko oddział kaliski krząta się żywiej i pracuje intensywnie, zajmując się bardzo słusznie przedewszystkiem wdrażaniem zdrowych pojęć o hygienie w młode umysły dziecięce. Ta działalność tem jest chwalebniejszą, że jak się skarży *Gazeta*, ogół inteligencyi miejscowej nie odznacza się zbytnim zapałem w popieraniu prac i zapoczątkowań Towarzystwa. Młodzież zaś uważa podobno za punkt honoru niechodzenie na odczyty hygieniczne i niezapisywanie się w poczet członków Towarzystwa. To też *Gazeta* z goryczą zapytuje młodzież, czy wiedza i wykłady z dziedziny odżywiania lub wychowania przyszłych pokoleń są tak bardzo dla niej obojętne, że woli czas spędzać w jakim zakładzie restauracyjnym?

Może też podniesienie wymagań kulturalnych mieszkańców prowincyi zapobiegnie powoli objawom dzikości i barbarzyństwa, które na każdym kroku musi notować prasa prowincyonalna. Nie będziemy

---

Za to byli tacy i było ich niemało, którzy po długim pobycie w Japonii mówili, że tam niema nic!

— Podejrzliwość zabiła w Japonii przyjaźń, a rozpusta miłość — mówili mi oni.

Sami Japończycy przyznawali, że oni wcale nie rozumieją i nie potrzebują tego „udzielania się dusz,“ tego „zaglądania na dno serc,“ które tyle wdzięku nadają obcowaniu Europejczyków.

— Mówię panu, że nie pokazują serc, bo nie mają tam co pokazywać, a w tych szczelnie zamkniętych pudełeczkach niema nic, oprócz fatałaszków i nieprzebranego egoizmu — twierdził ten sam nieprzyjaciel Japończyków.

To stanowczo jest nieprawdą. Przypuszczam, że niema tam owych rzeczy nadzwyczajnych, zapowiadanych przez samych Japończyków, lecz wśród rozmaitych artystycznych drobiazgów, zasuszonych kwiatów, notatek, wierszyków, czułych wspomnień, malarskich wzruszeń i zwietrzałych cokolwiek, filozoficznych refleksyj, kryje się jeden cenny, wspaniały klejnot — gorąca miłość ojczyzny i naiwna, wzruszająca wiara w naukę, że ona wywiedzie tę ukochaną Japonię z sennego, mętnego morza Wschodu na szlaki jasne, wszechludzkie...

Jest to jedyny może przedmiot, zdolny wzbudzić zapał w każdym Japończyku. A skoro naród ma choć jedno bóstwo, które kocha po nad życie i pieniądze, to ma zadatki pięknej i bohaterskiej przyszłości.

Japończycy posiadają w dodatku hartowną wolę i pogardę niebezpieczeństw. Są bardzo waleczni i nie znoszą kompromisów. Noga zdobywcy nie stanęła jeszcze nigdy na ziemi japońskiej. Gdy w swoim czasie jeden z Czingishanidów wysłał był do niej swe niezwyciężone hordy, został sromotnie pobity.

— Trzech wróciło, których oszczędziliśmy, aby powiadomili swoich o klęsce... — opowiadali z dumą młodzi Japończycy.

Ale sława wojenna ma dwa ostrza i jedno z nich porze własne wnętrzności zwycięzcy.

Serdecznie życzę Japonii, aby ustrzegła się tego kalectwa, a resztę sił, jakie zdoła zachować, niech zużyje na kroczenie po tych drogach, na których wcześniej czy później znajdą się wszyscy ludzie dobrej woli, a które wiodą do zbratania się ludów w duchu sprawiedliwości i doskonalenia się.

Na tych drogach czeka Japonię wzniosła rola przewodniczki Wschodu. I Europa z tego skorzysta, gdyż nauczy się nareszcie szanować ludzi innej barwy. Co za szkoda, że większość Europejczyków musi być o tem przekonywana uderzeniami pięści!..

Żegnaj mi, piękna Japonio! Staraj się być lepszą od nas!

tutaj przytaczali głosów, płynących z Łodzi lub Zagłębia Dąbrowskiego, gdzie charakter okolicy i mieszkańców, oraz warunki miejscowości tłumaczą poniekąd wiele strasznych wypadków panowania człowieka-zwierzęcia: zdziczenie to zaczyna ujawniać się i na wsi, gdzie dotąd było mało widocznem, nietyle może dlatego, że tam nie istniało, ile dla braku ściślej łączności ze światem całym. Jako przykład bezmyślnej zwierzęcości przytoczę za *Echami* zdarzenie we wsi Kosobudach pod Raciążem. Włościanka, Jarząbkowska, suszyła len na kominie. Wieczorem len nagle się zapalił, więc J. chciała uciekać z pięciorgiem dzieci. Tymczasem jej sąsiadka, w obawie widocznie, aby ogień nie dostał się do jej mieszkania, zamknęła drzwi i podparła je kołkiem. Jarząbkowska, nie mogąc się wydostać, tak się poparzyła wraz z dziećmi, że życiu jej grozi poważne niebezpieczeństwo.

W tejże gazecie znajdujemy skargi na nożownictwo wśród chłopów w g. Płockiej i zarazem częściowe wytłomaczenie tego zjawiska systemem rozmieszczania „pobytowców“ po małych miasteczkach, gdzie ci, nie mogąc znaleźć żadnego uczciwego zajęcia wśród spokojnej ludności, żyją jedynie z kradzieży i rozbojów. Pobytowcy w dodatku bardzo źle oddziaływają w szerokim promieniu danej okolicy nietylko jako złodzieje, lecz przez wpływ na otoczenie, demoralizując stopniowo spokojnych mieszkańców lub teroryzując ich, a przedewszystkiem służbę dworską.

Kwestya pobytowców, tej jednej z najnieszczęśliwiej obmyślanych stron i tak już wadliwego systemu poprawczego, jest rzeczywiście bardzo ważną i warto byłoby, aby ktoś specyalnie sprawę tę bliżej rozpatrzył i ze stanem jej oraz sposobami zaradczymi ogół zaznajomił.

J. Dąbrowski.

LISTY GALICYJSKIE.

Ze stosunków dziennikarskich. — Proces Węgrzyna i Breitera. — Inlender i Nowicki. — Taktyka dziennikarska demokratów narodowych.

Mieliśmy w ostatnich czasach parę procesów, w których figurowały ciekawe okazy szumowin i mętów dziennikarstwa galicyjskiego. Proces Węgrzyna w Krakowie, a Breitera i Daniluka we Lwowie rzucają tak jaskrawe światło na pewne stosunki tych sfer, że warto im się przyjrzeć nieco bliżej.

Węgrzyn, pierwotnie Weingrün, jest ciekawym typem pasorzyta polityczno-dziennikarskiego, wyzyskującego położenie przez ofiarowanie usług klikom reakcyjnym w celu zwalczania ruchu ludowego. Konserwatyści i klerykali, widząc, że ten ruch tak w mieście, jak na wsi, wzbiera coraz bardziej, usuwając im grunt z pod nóg, uciekają się do najrozmaitszych sposobów, aby go zgnębić. Po za brutalnemi prześladowaniami władz administracyjnych, zupełnie już dziś niewystarczającemi wobec zjawisk, będących owocem naturalnego rozwoju ekonomiczno-społecznego i kulturalnego, obóz klerykalny nie ma właściwie możności pozbycia się przeciwników politycznych. Ponieważ zarządzenia administracyjne zawodzą, trzeba szukać innych sposobów — „ideowych.“ I tu właśnie obóz konserwatywno-klerykalny napotyka osobistości w rodzaju osławionych Łucyków, Majów, Hacusiów i Węgrzynów. Nie znajdując ludzi uczciwych, którychby można było użyć, jako narzędzia do gnębienia ruchu ludowego, klerykali muszą się posługiwać indywiduami z pod ciemnej gwiazdy, które operują w klerykalnych stowarzyszeniach i redakcyach.

Jednym z najwybitniejszych takich działaczy był Węgrzyn — prosty robotnik kamieniarski, nieumiejący nawet pisać ortograficznie, który został pasowany na redaktora i nawet kandydował do sejmu i parlamentu z ramienia ks. Stojałowskiego. Działał tak sprytnie, że klika konserwatywno-klerykalna dostarczała mu sporo pieniędzy na nieistniejące zgoła, lub wychodzące w jednym numerze pisma, a do jego protektorów polityczno-finansowych należały takie osobistości, jak ks. biskup Fiszer, ks. hr. Komorowski, ks. Spis, hr. Wodzicki, ekscelencya Tchórznicki, dyrektor Slęk, inspektor Kawecki, radca Habliński itd. Udając wielkiego obrońcę interesów konserwatywno - klerykalnych, „dziennikarz“ ten uprawiał szantaż i najrozmaitsze oszustwa, które go w końcu zaprowadziły na ławę oskarżonych i do więzienia. Kiedy się Węgrzyn już znajdował w więzieniu, odkryto, że w jego mieszkaniu, a zarazem w redakcyi jego organu *Wolność*, wyrabiano 30-halerzówki, guldeny, 5 i 10-koronówki. Do tego komitetu redakcyjnego należały trzy osoby: Zdechlikiewicz, Biele i Węgrzyn. Ten ostatni dostarczał dwom pierwszym kapitału zakładowego i obrotowego z pieniędzy otrzymywanych od protektorów, i trudnił się przytem puszczaniem gotowych fabrykatów. Na rozprawie sądowej Węgrzyn próbował występować w roli ofiary „przeciwników politycznych,“ ale bez powodzenia. Stwierdzono, że był hersztem bandy i głównym inicyatorem fałszerstwa monet i skazano go na 2 i pół roku ciężkiego więzienia.

W ten sposób znika z widowni jeden ze sprytniejszych „dziennikarzy“ klerykalno-antiludowych, tak samo jak znikli już poprzednio inni jego koledzy, Łucyk, Maj i Hacuś — również za kratkami kryminału. Ale taki Węgrzyn — to drobny, kieszonkowy złodziej w porównaniu z bandytą na wielką skalę — lwowskim posłem Breiterem, którego proces świeżo się zakończył we Lwowie. Węgrzyn był tylko narzędziem w ręku klerykałów, których zresztą systematycznie okpiwał i wyzyskiwał — Breiter jest działaczem na własną rękę. Węgrzyna władza pociągnęła do odpowiedzialności, Breiter występuje w charakterze oskarżyciela.

Ciekawe są losy tego pana. Dał się już poznać jako działacz radykalny, albo raczej radykalizujący, a zarazem nieposiadający żadnych zasad określonych. Trzymał się zawsze na uboczu od wszelkich stronnictw politycznych i zawsze działał na własną rękę. W latach 1893—4 wytworzył partyę t. zw. „niezawisłych,“ z kilkudziesięciu mało inteligentnych i wykolejonych jednostek, które zaznaczyły swój udział w życiu politycznem niesłychanemi burdami na zgromadzeniach publicznych. Breiter zwalczał głosowanie powszechne z całą zaciętością, ale kiedy na skutek reformy wyborczej szersze masy ludności otrzymały to powszechne głosowanie w V kuryi, sięgnął po mandat. Nie mając za sobą żadnego stronnictwa politycznego, ani żadnych zwolenników osobistych, walczył dwoma środkami — przekupstwem i terorem. Człowiek stosunkowo bardzo zamożny, Breiter założył pismo *Monitor*, w którem istotnie teroryzował wszystkich. Rzucał się na setki osobistości, wyciągając skandale osobiste, mieszając prawdę z jawnymi fałszami, szkalował nierzadko ludzi uczciwych i nawet tam, gdzie miał słuszność, traktował sprawę nie zasadniczo, tylko osobiście. Otoczył się wykolejonemi jednostkami, zdolnemi do wszystkiego, które podczas agitacyi przedwyborczej organizowały oddziały pałkarzy, tłukących przeciwników politycznych. Chcąc zdobyć mandat poselski, Breiter puścił w ruch cały aparat przekupstwa i demoralizacyi, używany dotychczas jedynie przez obóz konserwatywno-klerykalny. Jego bandy rozsypywały się po wsiach podmiejskich i demoralizowały chłopów, częstując ich kiełbasą, rozpajając wódką itd. Breiter sypał pieniędzmi, rozbijał zgromadzenia przeciwników i w końcu zdobył mandat lwowski V kuryi. W parlamencie nie przystąpił do żadnego stronnictwa, pozostał „dzikim,“ żadnej wybitniejszej roli nie odgrywa i publiczności znany jest głównie, jako redaktor *Monitora*.

Indywidua, któremi się Breiter posługiwał, kazały mu sobie dobrze płacić, z chwilą zaś, kiedy zdobył mandat, opuściła go chęć dalszego utrzymywania całej bandy naganiaczy. To też wkrótce kilku przedstawicieli tej zacnej kompanii poczęło zionąć nienawiścią do pana posła. Niejaki Daniluk pokłóciwszy się z Breiterem, założył pismo *Reformator*, prowadzone na wzór *Monitora*, z mniejszą coprawda znajomością stylistyki i ortografii, ale z niemniejszem zuchwalstwem i to zwróconem przeciwko osobie Breitera. Rozpoczęła się walka namiętna, w której oba pisma rzucały się na siebie z gwałtownością niesłychaną. W *Reformatorze* Breiter został tak scharakteryzowany, że nie pozostawało mu nic innego, jak wytoczyć proces Danilukowi za artykuły, oskarżające go o szereg zbrodni. Chodziło przedewszystkiem o następujące fakty.

Breiter, dowiedziawszy się, że partya przeciwna zamierza urządzić mu kocią muzykę przed jego mieszkaniem, ukrył się u rodziców. Przeciwnicy pociągnęli tam wraz z inżynierem Mokłowskim. Breiter postanowił „sprzątnąć lub należycie przyrządzić“ znienawidzonego Mokłowskiego. W tym celu sprowadził sobie przez stróża kosz kamieni, duży rewolwer wojskowy, nabity sześcioma kulami i umieścił się w pokoju domu rodziców na pierwszem piętrze. Padł strzał i kula gwizdnęła tuż nad głową inżeniera Mokłowskiego. Policya poszła śledzić skrytobójcę, ale brakowało dowodów i Breiter uszedł cało.

W czasie wyborów z V kuryi we Lwowie w r. 1900, gdy poseł Daszyński miał przyjechać do Lwowa celem poparcia kandydatury p. Hudeca, Breiter postanowił nie dopuścić Daszyńskiego na zgromadzenie wyborcze i w tym celu zorganizował bandę opryszków, której polecił „młócić hurtem“ zarówno Daszyńskiego, jak towarzyszących mu Hudeca, dr. Diamanda i inż. Mokłowskiego. Wydał on rozkaz, aby pochwycić ich i kości im pogruchotać. Przed dworcem miało oczekiwać kilka parokonnych fiakrów, a na peronie paczka towarzyszów, którzy przy okrzykach: „wiwat Daszyński! wiwat Hudec!“ mieli ich wyprowadzić z dworca, wsadzić do powozów, a następnie popędzić z nimi na plac św. Jana, gdzie już miała być zebrana banda opryszków, ukryta w krzakach plantacyj. Ta otrzymała rozkaz „wywlec i walić tak, żeby nie było potem co zbierać.“ Tylko wskutek nieposłuszeństwa wybranych do napadu zbójów, którym Breiter rozdał pałki, kupione w bazarze w Rynku, zamach został udaremniony.

Dnia 10 listopada 1900 r. Breiter zwołał posiedzenie swej „przybocznej rady“ i wydał jej rozkaz uzbrojenia się w pałki oraz kamienie i zabicia p. Hudeca w chwili, gdy wysiądzie z tramwaju. Przysłał on niejakiemu Ćwiklińskiemu laskę z cienkim, włoskim sztyletem, poucząjąc zbira, aby „sztychnął“ Hudeca pod lewą łopatkę lub z prawego boku w wątrobę, za co obiecał 2,000 złr. Ćwikliński jednak cofnął się przed wykonaniem tego zamiaru.

Wszystkie te fakty, opisane z całą dokładnością w *Reformatorze* wraz z wiązką innych, zmusiły wreszcie Breitera do wytoczenia procesu byłym współtowarzyszom.

Proces ten wywołał powszechne zainteresowanie, a zeznania olbrzymiej falangi świadków rzuciły tak jaskrawe światło na figurę opryszka polityczno-dziennikarskiego, że zapewne odechce mu się na długo skarżyć oszczerców przed sądem. Jakkolwiek znaczna część prasy, nie wyłączając urzędowej *Gazety Lwowskiej*, wysilała się na tendencyjne sprawozdania, jakkolwiek nawet c. k. biuro korespondencyjne wysyłało przychylne dla Breitera zeznania w całej rozciągłości, nieprzychylne zaś obcięte i bardzo skrócone, to jednak opinia publiczna nie dała się steroryzować i wszyscy uczciwi ludzie musieli potępić całą działalność posła-opryszka.

Proces został, jeśli się tak można wyrazić, wygrany przez Breitera, ale wygrana taka jest stanowczo gorszą od klęski. Mianowicie sędziom przysięgłym postawiono 49 pytań, co do winy Daniluka i Ćwiklińskiego. Z tych 49 pytań tylko 2 zostały załatwione w sensie niekorzystnym dla oskarżonych. Mianowicie, co do Daniluka, obrazę popełnioną słowem „łajdak,“ przysięgli stwierdzili. Co do Ćwiklińskiego, orzekli, iż nie zdołał udowodnić, że Breiter najmował mordercę przeciw Hudecowi.

Różnica pomiędzy procesem krakowskim a lwowskim polega na tem, że kiedy Węgrzyn na 2½ roku usunięty został z areny „dziennikarskiej“, to Breiter w dalszym ciągu będzie zatruwał swą działalnością życie społeczne. Ciekawe, że z wyjątkiem 2—3 gazet prawie cała prasa galicyjska usiłuje zamilczeć — niekorzystne dla Breitera wyniki procesu lwowskiego. Jedni się go boją, drudzy sami czują, że nie wypada rzucać się na „kolegę,“ z którym się ma tak dużo wspólnego, inni oczekują korzyści naturalnych, zachowując milczenie. Że wśród dziennikarzy galicyjskich, obok ludzi idei i gorącego przywiązania do bronionej sprawy, pracujących w prasie niezależnej, jest dużo osobników, którym spryt praktyczny nie pozwala iść śladami Węgrzyna, a brak pieniędzy naśladować Breitera, o tem nie może być wątpliwości. Niezbyt dawno przyłapano we Lwowie na gorącym uczynku szantażu współpracownika pisma *Karykatury*; w jednej znów z redakcyj krakowskich zasiada złodziej notoryczny. O płatnych kondotyerach, broniących dziś konserwatyzmu, jutro demokracyi, dziś zwalczających Żydów, a jutro występujących w ich obronie, niema co mówić. Od takich osobistości aż się roi w prasie galicyjskiej.

Świeżo rozpoczęła się bitwa pomiędzy grubszemi rybami tej sfery. Mianowicie korespondent wiedeński narodowo-demokratycznego *Słowa Polskiego*, niejaki Adam Nowicki, obsługujący po za *Słowem Polskiem* i antisemickim *Głosem Narodu* coś jeszcze z 6 czy 8 pism najrozmaitszej barwy, zarzucił Adolfowi Inlenderowi — korespondentowi wiedeńskiemu różnych pism filo- i antisemickich, żę jest kameleonem politycznym i agentem ministra Korbera. I jedno i drugie jest prawdą, ale taką, która ogłoszona publicznie, dotyka nieprzyjemnie osobę zaczepioną. Wobec tego Inlender, uczuwszy się obrażonym, zażądał od wydziału Towarzystwa dziennikarzy polskich we Lwowie sądu honorowego. Odpowiedzialny redaktor *Słowa Polskiego*, Zygmunt Wasilewski, żądanie to odrzucił oświadczywszy, że żadnemu sądowi honorowemu się nie poddaje, jakkolwiek sam niedawno w swoim dzienniku takiego sądu żądał w innym wypadku. Jako motyw odmowy przedstawił, że sąd ten powinienby przesłuchać ministra Korbera, co jest niemożliwe; ażeby go zaś nie wykluczono z Towarzystwa dziennikarzy, sam z niego ustąpił.

Wobec tego Inlender przeszedł do roli zaczepnej, oświadczając, że mógłby np. napisać, że p. Wasilewski jest agentem rządu pruskiego a zawezwany przed sąd dziennikarski odpowiedzieć: stanę jeśli mi poręczycie, że zawezwiecie hr. Bülowa i zarekwirujecie akty z ministerstwa pruskiego. Następnie zabrał się do Nowickiego i ciętem swem piórem scharakteryzował dosadnie narodowo-demokratycznego pismaka. Udowodnił, że przepisuje on swe „rozumowania polityczne“ z historyczno-dziennikarskiego podręcznika Wurzbacha, że przedstawiał się przejezdnym warszawiakom, jako „sekretarz Gołuchowskiego,“ że kiedy *Naprzód* krakowski nazwał go dwukrotnie „znawcą szpiegostwa wojskowego.“ Nowicki odpowiedział na to w ten sposób, że przestał napadać na posła Daszyńskiego itd. itd.

Ma się rozumieć, że *Słowo Polskie* nie puściło płazem krzywdy jednego z najwybitniejszych swych współpracowników. Posypały się więc artykuły, repliki, polemiki itd. Sprawa ta będzie chyba zakończona, poza sądami honorowymi, paru pojedynkami. Zygmunt Wasilewski i J. Popławski wyzwali już na pojedynek redaktora *Dziennika Polskiego* Ostaszewskiego-Barańskiego. Z tej zwady skorzystał *Czas*, aby ze swej strony obrzucić narodowych demokratów gradem oskarżeń. Ukazał się w *Czasie* niesłychanie sprytnie napisany artykuł, dowodzący całym szeregiem cytat, że pp. Popławscy i Wasilewscy nietylko zamieszczają oczywiste kłamstwa, ale posługują się takimi zarzutami, których bardzo łatwo użyć przeciwko nim samym. *Słowo Polskie* odcięło się, ale niefortunnie, bo też istotnie nikt chyba nie doprowadził sportu szermowania nieuczciwymi zarzutami do takiej doskonałości, jak właśnie narodowi demokraci. Klasycznym jest następujący przykład.

W piśmie redagowanem przez p. J. L. Popławskiego, została umieszczona taka wiadomość: „W redakcyi *Naprzodu* krakowskiego policya odbyła rewizyę w celu wykrycia artykułu, pomieszczonego w nr. 140 tego pisma p. t. „Każdy Polak to świnia.“ Rękopisu pomimo starannych poszukiwań nie znaleziono.“ Ponieważ organ p. Popławskiego rozchodzi się i poza Galicyą, więc można sobie wyobrazić, jaki efekt musiała wywołać ta lakoniczna notatka, jakie gromy potępienia musiała sprowadzić na redakcyę dziennika krakowskiego ze strony ludzi, nieznających stosunków. „Każdy Polak to świnia!“ — jakżeż nikczemnem musi być to pismo, które odważyło się powiedzieć coś podobnego — pomyślał sobie niejeden z naiwnych czytelników. Jak miała się rzecz istotnie? Oto, jakiś podchmielony oficerzyna austryacki dopuścił się gdzieś tej obrazy społeczeństwa polskiego, *Naprzód* zaś napiętnował tak ostro wybryk oficerski, że notatka, której tytuł stanowiło powtórzenie obelgi oficera, została skonfiskowana przez prokuratora. P. Popławski wiedział to dobrze, a jednak pozwolił sobie na powyżej przytoczoną „polemikę dziennikarską“ gwoli wdeptania w błoto przeciwnika politycznego.

Niewesołe jednem słowem stosunki panują w prasie galicyjskiej. *Daleki.*

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Chłosta.

Każdy ból ofiar nożownictwa odbija się świadomym lub bezwiednym bólem w sumieniu społeczeństwa, które wobec takich objawów czuje swoją moralną niedolę, albo swoją winę. Jedni widzą tylko chorobę — i to ich przeraża, drudzy widzą nadto twórczy udział ogółu w jej przyczynie — i to ich smuci. Wszyscy rzucili się do rady i wypełnili prasę głośnym gwarem. Z wiru pomysłów wynurzył się środek leczniczy, który świeżo nawet w warunkach wysokiej kultury (np. w Anglii i Danii) uznany został za słuszny i skuteczny — bat. Powiedziano tam i powtórzono u nas: gromada społeczna ma prawo bronić się przeciw złoczyńcom, a gdy z człowieka wyłazi dzikie zwierzę, poskramiać go jak zwierzę. Rozumowanie to byłoby zupełnie zasadnem, gdyby owa gromada posiadała jednocześnie prawo hodowania zwierzęcia w człowieku. Ponieważ zaś go nie posiada, czyli zezwierzęcając jednostki ludzkie, wyrządza im krzywdę, więc nie może na nich brutalnie mścić się za swe własne okrucieństwo. Nie może tego czynić wogóle, a jeszcze bardziej w wypadkach, w których masa przysięgłego obywatelstwa, reprezentującego trybunał opinii, nie rozpościera żadnej kontroli nad wykonaniem zaleconej przez nią a rzekomo uzdrawiającej operacyi. Temu protestowi etycznemu dostarczają poparcia wyniki praktyczne. Niech obrońcy chłosty poprawczej zajrzą do rzetelnych badań jej skuteczności, chociażby tylko do wydanego przez *Prawdę* dzieła Maksymowa lub rozpoczętego w jej odcinku pamiętnika Leussa, a przekonają się, że z kary cielesnej wydobywa się potężny krzyk przeciwko jej stosowaniu, i że ona tylko do listy przewinień społecznych dopisuje nowy i to jeden z najcięższych grzechów. Każde też uderzenie morderczego noża jest ciosem w twarde serce ogółu, które lekceważy swoje najświętsze obowiązki i któremu dopiero zbrodnia musi je przypominać. *A. S.*

Trzeci most.

Ten nowy gatunek Żyda wiecznego tułacza rozpoczął już swoją wędrówkę. Pchnął go w świat „Komitet obywatelski,“ który na swem pierwszem posiedzeniu obradował nad projektem inżyniera Maszewskiego. Jak zwykle, zebrani podzielili się na dwa obozy, a gdy żaden z nich nie posiadał widocznie dostatecznej powagi i wiedzy dla przekonania przeciwników, postanowiono przesłać projekt do oceny komisyi inżenierskiej w Petersburgu z prośbą o zwrócenie go w ciągu dwóch miesięcy. Ponieważ owa komisya nie jest instancyą, przez którą musiałby on przejść koniecznie, więc odegra ona rolę konsylium, rozstrzygającego wątpliwości inżenierów miejscowych, którzy sami nie umieli dać sobie rady z przedsiewzięciem, tak już dziś ułatwionem, jak budowa mostu. Smutny to objaw niemocy umysłowej, którego nie oczekiwaliśmy, pamiętając, ilu to naszych rodaków kończy specyalne szkoły, które powinnyby ich do tego odpowiednio uzdolnić. Wolelibyśmy, ażeby się okazało, że ich tylko nie wezwano do narady. Bądź co bądź, stajemy po stronie tych członków komitetu obywatelskiego, którzy domagali się pospiesznego załatwienia sprawy. Rozumiemy należycie, że wydatek paromilionowy powinien być dokonany rozważnie, że most na wielkiej rzece nie jest bagatelą, ale wobec gwałtownej jego potrzeby, wobec tego bezprzykładnego w Europie faktu, że miasto z 700-tysiączną ludnością musi przetłaczać swój ogromny ruch przez jeden właściwie most, wolelibyśmy, ażeby nabito w poprzek Wisły szereg drewnianych palów i położono na nich żerdzie, niż żeby ten niezbędny środek komunikacyi miał się odwlec do dalekiej przyszłości.

Klucz zagadki.

Pewna część naszych czytelników nie może pojąć a my nie umiemy im wytłomaczyć, dlaczego Filharmonia warszawska

ściąga z całego świata i suto opłaca obcych kapelmistrzów do kierowania jej orkiestrą, skoro posiada własnych? Zaręczają nam, że pp. Młynarski i Noskowski są mistrzami w tej sztuce, a jednocześnie sprowadzani są Szwedzi, Niemcy, Czesi, ażeby ich zastąpili i wywieźli za swą usługę tysiące rubli z kraju. Otóż zdaje się, że klucza do tej zagadki dostarczył nam p. Z. Noskowski w swych pogadankach muzycznych. Mianowicie twierdzi on, że od 200 lat nie wynaleziono ani jednej nowej melodyi, jako kombinacyi tonów, ale że mimo to powstają ciągle nowe, dzięki zmianom w rytmie. Należy więc przypuszczać, że kapelmistrze zagraniczni, wprowadzając do granych pod ich dyrekcyą utworów nowe rytmy, zbogacają tym sposobem koncertowy repertuar Filharmonij. Jeden walc Straussa lub symfonia Beethovena zamienia się na tyle walców i symfonii, ilu dyrektorów stanie przy pulpicie orkiestry. Niepodobna zaprzeczyć, że jest to niezmiernie prosty i znakomity sposób mnożenia literatury muzycznej do nieskończoności, ale czy nie możnaby tego dokonywać siłami miejscowemi? Przecież sam p. Młynarski mógłby nadać każdemu walcowi i symfonii wiele odmiennych temp i zaoszczędziłby Warszawie wydatków na sławne pałeczki zagraniczne. Polecamy nasz projekt uwadze akcyonaryuszów Filharmonii, zwłaszcza gdy znajdą się w potrzebie pokrycia jej niedoborów.

Niewinnie skazani.

W świeżo osądzonej sprawie fałszerzy pieniędzy (Glasa, Hinchy, Herza, Pinczewskiego, Ellenbanda, Artazowa, Sokulskiego) okazało się, że przed paru laty zostali niewinnie skazani i wysłani na Syberyę niejacy Woźniakowie. Jak obecnie wyjaśniło śledztwo, znaleźli oni w składzie mebli Ellenbanda ukryty zwitek podrobionych papierów publicznych, które puścili w obieg. Ludzie prości popełnili karygodny czyn przez niewiadomość, a nie mając środków na obronę, nie zaapelowali od wyroku Sądu Okręgowego do Izby, która innych, zamieszanych do tej sprawy, uwolniła. Kto się dziś zajmie ratunkiem tych nieszczęśliwych ludzi? Nie wiemy, czy oni mają tu jakichś krewnych, którzyby chcieli i mogli podjąć starania, ale ponieważ sam prokurator przyznał obecnie omyłkę sądową, więc należy przypuszczać, że proces skrzywdzonych Woźniaków wskrzeszony będzie z urzędu. Niezależnie wszakże od tej nadziei ci z adwokatów warszawskich, którzy są wrażliwi na niedolę ludzką i chętnie składają jej ofiary ze swych usług, powinniby pospieszyć z pomocą nieszczęśliwym.

Niedyskretny hołd.

Wielbiciele talentu artysty teatrów warszawskich, p. B. Leszczyńskiego, postanowili złożyć mu podczas przedstawienia jubileuszowego nietylko wieńce, ale i dary. Więc wręczono mu publicznie obok kwiatów rozmaite kosztowne przedmioty, a między nimi pugilares z 1,000 rubli. Względem aktorów przyjęła się u nas taka postać hołdów. Czy ona jednak nie powinnaby zdobyć się na większą dyskrecyę i przyzwoitość? Artysta z natury i zawodu swojego musi posiadać wybredniejszy smak życiowy, a jego czciciele nie mogą w objawach swych uczuć przekraczać granic tego smaku. Nie dziwilibyśmy się, gdyby jakiś fabrykant bielizny lub naczyń kuchennych wyraził swoją wdzięczność ulubionemu aktorowi ofiarowaniem w dzień jubileuszu swoich wyrobów. Ale to nie znaczy, ażeby wypadało złożyć na scenie parę tuzinów koszul lub garnków i rondli. Ow pugilares z 1,000 rb. wyglądał tak, jak gdyby przed bohaterem dnia stanął delegat z czapką napełnioną drobnymi datkami publiczności: „Oto zebrałem dla ciebie wielki artysto trochę grosza od ludzi miłosiernych, ażebyś mógł sobie sprawić parę nowych garniturów i futro. Niech żyje twoja ukochana sztuka!"

Ogród pomologiczny.

Przez tydzień dzienniki nasze rozprawiały o zamiarze sprzedania ogrodu Pomologicznego na place pod budowę domów i „przeniesienia" go na grunta folwarku Rakowiec. W jaki sposób odbyłoby się to „przeniesienie" starych drzew, nie objaśniono, więc wolno przypuszczać, że za pomocą siekiery, czyli że ogród uległby zupełnej zagładzie i poszedł na opał. Według ostatnich doniesień, projekt ten upadł, ale pozostało po nim przykre wrażenie możliwości jego odrodzenia się. Niewątpliwie jest on bezprzykładnym, i po za wypadkami zniszczeń w wojnach i klęskach żywiołowych nie słyszeliśmy, ażeby podobnego wyrębu dokonano w jakiemś cywilizowanem ognisku życia. Ale z drugiej strony przyznać trzeba, że warszawski ogród pomologiczny jest zakładem prawie martwym. Jego bowiem użyteczność dla Szkoły Ogrodniczej ani nie wyczerpuje jego zadania, ani nie równoważy swemi korzyściami tkwiącego w nim kapitału. Powinien on być główmie pracownią doświadczalną, w którejby umiejętnie i systematycznie wypróbowywano odmiany drzew i roślin owocowych w odniesieniu do naszych warunków gleby i klimatu. Tymczasem zarząd ogrodu Pomologicznego takich badań nie prowadzi, a przynajmniej z ich wynikami ogółu nie zaznajamia. Jest to podręczne laboratoryum niższej szkoły, dla której wystarczyłby zupełnie kawałek ziemi a niepotrzebny wielki jej obszar w obrębie miasta. Niech z niego zacznie korzystać wiedza ogrodnicza całego kraju — wtedy zobaczymy, że milionowa jego wartość oprocentuje się należycie.

Jarmark rzemieślniczy.

Myśl sama w sobie była dobra: chodziło o danie sposobności niezamożnym rzemieślnikom warszawskim przedstawienia publiczności swych wyrobów i zbycia ich w czasie przedgwiazkowym. Inicyator projektu pragnął dopomódz w ten sposób tylko wyłącznie ludziom ubogim, którym położenie materyalne nie pozwala ponosić kosztów na magazyny, wystawy sklepowe, reklamy i ogłoszenia. Lecz to, co przenosi możność każdego z osobna, da się częstokroć osiągnąć siłami zbiorowemi. Tymczasem komitet zupełnie myśl pierwotną wypaczył obierając na jarmark lokal, pomimo swej bezpłatności, tak kosztowny, że wejść do niego mogli wyłącznie rzemieślnicy zamożniejsi, którym tego rodzaju pomoc właściwie się nie należała.

Prócz tego jarmark miał istnieć tylko dla wytwórców z całkowitem wykluczeniem pośredników, którzy w wielu wypadkach zachowują, niestety, względem naszych wyrobów krajowych wprost nieprzychylne stanowisko. Tymczasem na jamarku znajdujemy kupców i większych składników, zajmujących nienależące się im miejsce, i podszywających się pod obcą firmę. Co więcej, pragną oni przywłaszczyć sobie przewagę i rozkazywać tam, gdzie tylko słuchać powinni.

Należy przypuszczać, że głośne objawy niezadowolenia, wywołane wielu niewłaściwościami, wpłyną na wybranie w przyszłości innego komitetu, lub na takie skrępowanie obecnego w jego działalności, żeby dziś rażące nieprawidłowości powtarzać się nie mogły; chodzi tu nietyle o interes materyalny rzemieślników, ile o niedopuszczanie do przekręcania i wypaczania zdrowej myśli zrzeszania się przez ludzi, którzy jej nie rozumieją a tylko wszędzie i zawsze własny interes mają na oku.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Adam Szelągowski: *Wzrost państwa polskiego w XV i XVI w. Polska na przełomie wieków średnich i nowych.* Lwów, nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, 1904.

Zdaje się, że czasy wszechwładnego panowania szkoły krakowskiej minają bezpowrotnie. Korzon, Askenazy, od pewnego czasu Szelągowski, że pominiemy tylu innych, zdobywają pozycyę po pozycyi i wkrótce niewiele pozostanie z papierowej warowni, którą z takim nakładem pracy, a przedewszystkiem fanatyzmu, no i reklamy wybudowali pp. Szujski, Bobrzyński, Kalinka i inni „książęta" czy „królowie" historyi polskiej.

Punktem wyjścia szkoły krakowskiej było przeświadczenie, że cała historya Polski stanowi tylko przygotowanie do wypadków, które miały nastąpić z końcem XVIII wieku. Każdy fakt historyczny rozpatrywano pod tym jednym kątem: były swobody polityczne, to one osłabiały władzę państwową i miały doprowadzić do jej upadku; jeżeli zjawiał się ucisk, to oczywiście musiał wywoływać niezadowolenie, które zmniejszało spoistość wewnętrzną państwa. Ponieważ zaś z góry mówiono sobie, że wszystko było złe (gdyż ostatecznie miało doprowadzić do katastrofy), więc mimowoli znajdowano błędy i wady nawet tam, gdzie ich nie było; jasnych zaś stron nie dostrzegano, gdyż każdy fakt był zwiastunem nieszczęścia. Historya zamieniła się w romans tendencyjny.

Nowe pokolenie historyków poddało rewizyi rzekome pewniki pp. Bobrzyńskich et cons. Okazało się przedewszystkiem, że polegały one w wielu wypadkach na nieznajomości, niekiedy na tendencyjnem zamilczaniu lub pomijaniu faktów, które teraz wykazane zostały na podstawie cierpliwych badań archiwalnych. Wiek XVIII, ta epoka największego upadku, nad którą najbardziej rozdzierano sobie szaty, okazała się w rzeczywistej swej postaci, zawierającej wiele stron, godnych zapamiętania, nawet podziwu. Po nim poszły inne. Dla zwykłego profana, który jednak nie może studyować historyi Polski z temi samemi uczuciami, co dzieje Asyryi lub Afganistanu, stało się możliwem czytanie opowiadań z przeszłości bez bolesnego uczucia żalu i bezsilności. Historya stała się nanowo „mistrzynią życia," gdy dawniej była tylko źródłem apatyi lub sceptycyzmu.

Do tych nowych badaczy należy p. Szelągowski. Epoka, którą on rozpatruje w swym „Wzroście państwa polskiego w XV i XVI w.," była przełomową, z rozmaitą też spotykała się oceną. Po dawnych, dość szablonowych zachwytach nad „wiekiem złotym" nastąpił krańcowy pesymizm. Polska, mówiono, niepotrzebnie skierowała się na Wschód i, rozszerzając teren swej działalności, podjęła się zadania, przerastającego jej siły i skazała się dobrowolnie na anemię polityczną, a zarazem „przedwczesnie" zdobyła się na ustrój parlamentarny, ugruntowała swobody, które miały sprowadzić jej zgubę. Kwestyę, czy pogląd powyższy jest słuszny, p. S. stawia w przedmowie do swego dzieła i, trzeba przyznać, rozwiązuje znakomicie. Nie bawiąc się w żadną polemikę, samymi faktami autor przekonywa czytelnika, że czynienie jakichkolwiek zarzutów posunięciu się Polski na Wschód w w. XV jest nonsensem, gdyż było ono koniecznością historyczną,

najprzód dla Polski, naciskanej z Zachodu przez organizmy polityczne, przewyższające ją potęgą i kulturą, później dla Litwy. Obok tego przedstawiona jest wyraziście druga akcya polityczna, której podjęło się ówczesne państwo polskie — zdobycie części Wisły i dostępu do morza, z wszystkimi jego skutkami.

Drugą stronę dzieła stanowią dzieje rozwoju wewnętrznego: przeobrażenia się Polski z ustroju feudalnego w państwo nowożytne. I tu obraz jest całkowity i dokładny, czasami nawet zbyt drobiazgowy, ale zawsze pozostawiający w umyśle czytelnika bardzo jasne pojęcie o rzeczy.

Książka napisana jest niezmiernie popularnie, tak że może ją czytać człowiek, który zaledwo ma pojęcie o ogólnym zarysie dziejów Polski, a jednocześnie na tyle ściśle i źródłowo, że sprawi przyjemność i przyniesie korzyść dość obeznanemu z dziejami owych czasów; zastąpi mu bowiem całą masę monografij specyalnych, powie nawet niejedną rzecz nową. Kończąc książkę, żałuje się mimowoli, że autor nie postawił sobie szerszego zadania, nie wziął dziesięciu wieków, zamiast dwóch.

Ale „każda ricz ma swoju szatenzajtu," jak mówią Rusini; ma ją i książka p. Szelągowskiego. Więc przedewszystkiem zarzucilibym mu częste nieliczenie się ze słowem. Pióro unosi go i popełnia on wtenczas uogólnienia, albo rzuca na wiatr wyrazy, które muszą wytwarzać błędne pojęcia w umyśle czytelnika. Wezmę kilka przykładów.

Na str 11 i w kilku innych miejscach nazywa on kościół „matką narodów," gdyż przyczynił się rzekomo do ich złączenia. Zgoda, że u nas kościół odegrał tę rolę w epoce podziału na księstwa, ale już dziś wpływ jego nieraz do wręcz przeciwnych doprowadza wniosków (np. na Górnym Śląsku), a cóż powiedzieć o takich Włoszech lub Niemczech, które przez tyle wieków rozbite były dzięki egoistycznej polityce kościoła! W innych miejscach autor stawia tezę, że chrześciaństwo wniosło pojęcie wolności, które Polska jakoby wcześniej od innych narodów rozwinęła. Czyż historyk może mówić coś podobnego? Jakże często ludzkość była świadkiem zupełnego podeptania zasad wolności w krajach ultrachrześciańskich, a czyż dla objaśnienia powstania i rozwoju swobód politycznych w Polsce XV i XVI w. nie wystarczają przyczyny społeczne, które autor sam wyszczególnia, by trzeba było uciekać się do pomocy chrześciaństwa?

Do tej samej kategoryi zaliczymy powiedzenie (str. 111) że ziemiaństwo w XV w. było „pod względem politycznym zupełnie dojrzałe," gdy na str. 151 jest ono „ciemne i nieprzygotowane do życia politycznego." Oba uogólnienia są przesadzone, ale autor wprost nie może powstrzymać się od ich wygłoszenia.

Nie przywiązuję wielkiej wagi do tych zarzutów, ale warto wymienić niektóre: na str. 15 powiedziane jest, że przy ustroju stanowym panujący mało miesza się do spraw wewnętrznych kraju, a idzie mu tylko o to, „aby jeden stan nie uciskał drugiego." Jest to najwyżej pobożne życzenie: panujący ówcześni nieraz tolerowali dobrowolnie największy ucisk, a jeśli brali stronę jakiego stanu, to w tym celu, by opierając się na nim, zgnieść inny stan, zbyt potężny. Str. 30: „od północy przylegała do Litwy Ruś Czarna"; w rzeczywistości znajduje się ona na południo-wschód. Litwa jest zdaniem autora „doskonałym typem państwa federacyjnego" (str. 120), gdy była ona tylko państwem feudalnem, jaka bowiem może istnieć federacya, gdzie państwo powstało z podboju? O Prusakach autor mówi, że są „pokrewni Litwinom, a więc także i Słowianom" (str. 207), co może zupełnie fałszywe dać pojęcie; Prusacy i Litwini byli na tyle pokrewni Słowianom, co Celtowie i Germanowie. Dużo psuje też wadliwa korekta: sejm radomski w paru miejscach oznaczony jest rokiem 1503, gdy odbył się w 1505; przy unii florenckiej na str. 241 postawiona data 1458 *).

Ale jak powiedzieliśmy, to są drobnostki, które zdarzyć się mogą każdemu autorowi. To też nie będziemy wyszukiwali wszystkich podobnych usterek, pozostawiając to zadanie pismom fachowym, a przejdziemy do rzeczy ważniejszych.

Przedewszystkiem autor zupełnie niesłusznie twierdzi, że Polska XVI w. przestała być ustrojem stanowym. Powiada on, że po zwycięztwie Jagiellonów nad możnowładztwem „zasada wolności utrzymywała się w nowym ustroju Rzeczypospolitej, tylko była to już wolność nie stanowa, ale reprezentacyjna, na mocy udziału prawnego każdej warstwy we wspólnym rządzie" (str. 27). A winnem miejscu: „Polska w sejmie walnym otrzymała przedstawicielstwo nie stanowe, lecz ogólno-narodowe." Pogląd taki jest najzupełniej błędny. Polska do końca w. XVIII nie przestała być społeczeństwem stanowem. Nawet gdyby miasta zachowały swe przedstawicielstwo na sejmach walnych (co rychło utraciły), a włościanie (którzy nigdy tam nie byli reprezentowani) nabyli je, to i wtedy nie zostałby naruszony system, który odgradzał wyraźnie szlachcica od mieszczanina i chłopa pewnymi, przywiązanymi tylko do dawnego stanu przywilejami. Dodajmy, że to wcale nie czyni nam ujmy: Anglia, która obok Polski była jedyną przedstawicielką parlamentaryzmu, miała tak samo społeczeństwo stanowe, dopóki rozwój społeczny nie przerobił stanów na klasy.

Dalej zarzucilibyśmy p. S. zbyt pobieżne rozprawienie się z reformacyą i nieuwzględnienie dodatnich i ujemnych wyników tego ruchu umysłowego, więc z jednej strony wpływu reformacyi na ukształtowanie się *jednej* mowy dla całego narodu, na wyniszczenie gwar prowincyonalnych przez szerokie rozpowszechnienie literatury kościelnej, wskutek czego np. Mazur pruski, który nigdy nie był pod rządami polskimi, używa dziś najślicznieszych zwrotów z wieku XVI, wyjętych ze starych biblij innowierczych; z drugiej strony — upadku szkół, które zbyt wyłącznie poświęcone zostały propagandzie zasad wyznaniowych. Bez tego wiele zjawisk życia umysłowego XVI w. i następnych nie będzie dla nas zrozumiałe.

Wreszcie p. S. zbywa paru słowy stosunek Polski ówczesnej do Żydów. Tymczasem polityka królów, sejmów, duchowieństwa i miast względem tego żywiołu obcego była zupełnie różna i bardzo ciekawa. Posunęlibyśmy się tutaj do twierdzenia, że były czasy, kiedy można było przypuszczać, że Żydzi zostaną wchłonięci i zasymilowani tak, jak Tatarzy lub Ormianie; później wszystko to się popsuło. Ale w każdym razie Żyd średniowieczny, z czasów przywileju z r. 1264, zupełnie był inny od Żyda w. XV i dopiero w w. XVI naród ten zaczyna znowu być obcem, wyodrębnionem od reszty społeczeństwa i żyjącem swem własnem życiem ciałem.

Pomimo tych usterek książka p. S. jest zjawiskiem bardzo dodatniem.

Aleks.

*) Przy sposobności obronię autora od paru zarzutów, postawionych przez sprawozdawcę *Ogniwa*, który bierze na seryo każdy mimowolny „lapsus calami"; tak nawiązując do zdania autora, że w w. XVI „w Polce istniało tylko prawo zwyczajowe, prawa pisanego nie było," — zapytuje czy p. S. „nie wie o działalności Wielkiego Kazimierza, i je zupełnie pomija"? Tymczasem autor mówi szczegółowo o zasługach Kaz. W. (str. 29), wylicza on w innych miejscach różne statuty (str. 217 statut wiślicki, str. 223 przywilej Bolesława Wstydliwego itd.). Drugi zarzut ma jeszcze mniej podstawy: Krytyk cytuje następujące zdanie p. S.: „Zbigniew Oleśnicki pragnął przyłączyć Śląsk napowrót do Polski w połowie wieku XV, a nawet jeszcze w w. XVII," poczem zapytuje z tryumfem, „jak mógł to uczynić ten mąż, który był umarl w r. 1455?" Tymczasem całe zdanie brzmi: „a nawet jeszcze w w. XVII Polacy rościli sobie pretensye do Śląska," czego przecież sprawozdawca nie mógł nie zauważyć i co odbiera wszelkie uprawnienia do czynienia p. S. jakichkolwiek zarzutów, pomijając już to, iż niepodobna przecież przypuszczać, by autor książki, wykazującej taki zasób erudycyi, mógł przenieść Oleśnickiego do XVII wieku!

Kwestya cukru w fizyologii.

(Dokończenie).

Wymienione tutaj cukry i nieobjęte naszem wyliczeniem, a nader rozpowszechnione w przyrodzie materye cukrowe należą do jednej ogromnej grupy węglowodanów. Nazwa ta powstała jeszcze wówczas, gdy o naturze chemicznej cukrów nie wiedziano prawie nic, a dane analityczne wykazywały obok węgla obecność wodoru i tlenu w takim stosunku, w jakim te dwa pierwiastki tworzą wodę. Przypuszczając, że tlen i wodór w cukrach są tak samo z sobą związane, jak w wodzie, nadano grupie tych związków nazwę wodanów węgla, nazwę najzupełniej sprzeczną z istotną naturą samych ciał, lecz pozostała do dziś dnia, jako rzecz uświęcona tradycyą. Badania Berthelot'a i Fischer'a wykazały, że cukry posiadają własności częściowo alkoholowe, częściowo aldehydowe lub acetonowe; na podstawie więc naszych dzisiejszych pojęć o zależności funkcyi związku od pewnego sposobu wzajemnego ugrupowania atomów w jego cząsteczce, musimy przypuścić, że cukry posiadają grupę OH (hydroksyl), związaną z węglem, ponieważ z istnieniem tej grupy łączymy zazwyczaj funkcyę alkoholową, i grupy: C—CO—H, lub C—CO—C, z których pierwsza jest wyrazicielką własności aldehydowych, a druga — acetonowych. Uważając podany przez autora opis własności chemicznych cukrów za zbyt specyalny, poprzestajemy jedynie na zaznaczenie powyższych ogólnych uwag, zwracając się natomiast do wyświetlenia udziału glukozy, powstającej z cukru lub krochmalu, w zapewnieniu organizmowi pewnego zasobu energii.

Ze względu na swą doniosłość w sprawie krzepienia ciała glukoza zasługuje na tę samą nazwę: "pabulum vitae," jaką już oddawna otrzymał tlen. Krew, która obiega wszelkie zakątki ciała, musi zawierać stale mniej więcej 1,5 gr. glukozy na litr. W warunkach normalnych procentowa zawartość glukozy we krwi (1,5 gr. na 1000 gr.) pozostaje prawie niezmienną i jest niezależną od ilości i jakości pokarmu, wprowadzonego do organizmu, naturalnie w pewnych granicach, po za któremi istnieje z jednej strony głód, a z drugiej nadmierne przeciążenie żołądka pokarmem. W pierwszej chwili możnaby przypuszczać, że po jedzeniu we krwi powinno być więcej glukozy, niż przed, tymczasem badanie wykazuje wspomnianą niezależność. Musi zatem być jakiś regulator dopływu glukozy do krwi. Tę zaszczytną funkcyę pełni wątroba: odbierając nadmiar glukozy od dopływającej do niej krwi, przerabia go ona (prawdopodobnie przez dehydratacyę — odwodnienie) na glikogen, należący także do grupy węglowodanów, jako na związek, więcej nadający się do przechowania. W ten sposób wątroba gromadzi zapas materyi cukrowej, którą w miarę potrzeby przerabia z powrotem na glukozę przy udziale fermentu wątrobianego i oddaje krwi dla podtrzymania w niej stałej procentowości glukozy, sta-

nowiącej formę czynną materyi cukrowej w organizmie, podczas gdy glikogen jest jej postacią bierną. Że glukoza, znajdująca się we krwi, bierze poważny udział w pracy organów, łatwo się przekonać przez porównanie krwi w tętnicach i w żyłach: pierwsza zawiera glukozy znacznie więcej, niż druga, ona bowiem doprowadza glukozę do każdego poszczególnego organu. Brak glukozy we krwi wywołuje naprzód niemoc, nieprawidłowe działanie organizmu, a wreszcie sprowadza ogólną martwotę: wraz ze zniknięciem ostatniej cząsteczki glukozy ze krwi ginie cały szereg przeróżnych zjawisk, stanowiących treść i zagadkę życia.

Dopóki mówimy o zwierzętach, żywiących się pokarmami roślinnymi, bez wahania orzekamy, że jedynem źródłem glikogenu, a więc i glukozy we krwi, są węglowodany; lecz jeśli zważymy, że glukoza znajduje się we krwi zwierząt mięsożernych, lub we krwi człowieka, na którego pożywienie składają się zarówno węglowodany, jak białko i tłuszcze, to wypada sobie odpowiedzieć na pytanie, czy glikogen może się tworzyć z substancyj proteinowych i tłuszczów, czy też pochodzenie swe zawdzięcza jedynie węglowodanom. Badania wielu fizyologów (Voit, Pettenkofer, Pflüger, Rubner, Cheveau) dowodzą, że organizm pozbawiony pokarmów mącznych, może tworzyć glikogen ze spożywanych ciał proteinowych, lub w czasie głodu kosztem swych własnych tkanek. Próby, wykonane z niektóremi zwierzętami, poddanemi systematycznemu głodzeniu w przeciągu kilku, lub kilkunastu dni, wykazały obecność glukozy we krwi tych zwierząt, wprawdzie w ilości mniejszej, niż w warunkach normalnych. Zdaniem Pflüger'a zachodzi tu synteza glikogenu, połączona z głęboką przemianą materyi białkowej, lecz jest to tylko przypuszczenie, ponieważ nie znamy zupełnie drogi przejścia materyi białkowej do glikogenu. Co do możliwości tworzenia się glikogenu z tłuszczu to kwestya ta nie jest należycie wyjaśnioną. Jak to już zaznaczyliśmy, nie znamy istoty przemiany materyi białkowej (azotowej) na glikogen, możemy jednak powiedzieć, że ta przemiana nie jest bezpośrednią; natomiast przejście od węglowodanów do glikogenu, względnie glukozy, należy uważać za najprostsze, najłatwiejsze, a więc z punktu widzenia ekonomii w gospodarce organizmu — najpożądańsze, czyli mówiąc językiem potocznym, węglowodany są strawniejsze od białka i tłuszczu.

Wyżej zaznaczyliśmy, że wątroba jest głównym organem, wytwarzającym glikogen; dodać należy, że nie wyłącznym, stwierdzono bowiem obecność glikogenu w mięśniach, gdzie ta substancya odgrywa nader doniosłą rolę fizyologiczną: ona właśnie jest głównem źródłem siły mięśniowej. Można tak twierdzić na podstawie obserwowanego faktu, że zasób glikogenu mięśniowego zmniejsza się w stosunku do pracy, którą mięsień wykonywa, a powraca do stanu normalnego w czasie wypoczynku organizmu. Próby usunięcia wątroby, u tych, dość zresztą rzadkich, zwierząt, które czas jakiś jeszcze żyć mogą po odbytej operacyi, wykazały, iż glikogen mięśni tworzy się w nich kosztem glukozy krwi. Staje się więc zrozumiałem, dlaczego sprawność układu mięśniowego jest zależną, od stałego i niezbędnego zasobu glukozy we krwi. Zaznaczyć wypada, że przy wycieńczeniu organizmu przez nadmierną pracę fizyczną mięśnie zachowują glikogen dłużej niż wątrąba, która go traci na kilka dni przed ostatecznem zniknięciem tego ciała, zwiastującem rychłą śmierć zrujnowanego organizmu. Jeżeli więc cukier krwi jest głównym sprawcą czynności mięśniowej, jeżeli dalej, jak utrzymuje wielu uczonych, a między innymi Chauveau, tenże cukier jest prawie jedynem źródłem ciepła zwierzęcego, to słusznie należy mu się, zdaniem autora, pierwsze miejsce w szeregu czynników życiowych.

Chcąc w końcu wykazać doniosłość pokarmów cukrowych w sprawie wytwarzania siły mechanicznej u zwierząt i człowieka, autor porzuca swoje stanowisko ściśle naukowe, oparte na gruncie dociekań chemicznych, i daje opis rezultatów, otrzymanych na drodze empirycznej. Po raz pierwszy podobne próby podjęte były przez fizyologów włoskich U. Massoni Paoletti. Badacze ci posługiwali się przyrządem przez jednego z nich pomyślanym, zwanym *ergografem*. Ten przyrząd, zresztą nader prosty w swej budowie, pozwalał porównywać sprawność pewnej grupy mięśni przed i po wprowadzeniu do organizmu rozmaitych ilości cukru. Liczne próby wykazały, że wkrótce po zastosowaniu tej substancyi następowało podniesienie się poziomu energii mięśniowej, zmęczenie zaś a nawet zupełne wyczerpanie można było z łatwością odwlec stosunkowo niewielkiemi dawkami (2—20 gr.). Wyniki tych badań znalazły wkrótce zastosowanie. Niemiecki lekarz wojskowy, dr. Schumburg wpadł na myśl, aby żołnierzom podczas uciążliwych marszów dawać dodatkowo pewne ilości cukru. Skutki były jak najlepsze; tą bowiem drogą łatwo było podtrzymać nadwerężane siły oraz odwlec znużenie. Drugie podobne doświadczenie zostało starannie przeprowadzone przez dr. Leitenstorfera w r. 1897 r. w Metzu. Próby podjęto podczas wielkich manewrów, gdy żołnierz wystawiony jest na bardzo uciążliwe ćwiczenia. Utworzono dwa oddziały, liczące po dziesięciu ludzi; pierwszy oddział otrzymywał zwykłe pożywienie, żołnierzom drugiego dodawano do codziennych porcyj jeszcze cukier. Doświadczenie trwało 36 dni; po upływie tego czasu zbadano najstaranniej stan zdrowia obu oddziałów. Wyniki dają się streścić w kilku słowach: pod każdym względem przewaga była po stronie ludzi, którzy otrzymali dodatkowy cukier. Zauważono nieznaczny przyrost wagi ciała, odporność na znużenie, oddech spokojniejszy, puls równiejszy i wolniejszy, niż u ludzi drugiego oddziału. Co jednak najgodniejsze uwagi, to, że wbrew przewidywaniom apetyt i pragnienie tych żołnierzy zmniejszyły się. Wkrótce po ogłoszeniu powyższych wyników powstał projekt systematycznego stosowania cukru. Inne znów doświadczenia wykazują zbawienny wpływ pokarmów cukrowych przy męczących wycieczkach turystycznych, lecz spostrzeżenia z tej dziedziny nasuwają zazwyczaj wątpliwości, czy nie odgrywa tu roli złudzenie, suggestya itp. czynniki. Uwagi powyższe nie dotyczą jednak doświadczeń, podjętych przy żywieniu zwierząt cukrem: tu złudzeń być nie może, a rezultaty były tak przekonywające, że Grandeau powziął myśl zbadania skutków zastąpienia przez cukry pewnej części pokarmów, dawanych koniom. Okazało się, że żywione w przeciągu niemal całego roku paszą z cukrem, mogły wykonywać ciężką pracę i pozostawały w lepszym stanie, niż te, które żywiono zwykłym trybem. — Jednym słowem ze wszystkich prób cukier wychodzi zwycięzko, otoczony blaskiem chwały najlepszego i najpożyteczniejszego pokarmu, pociągającego za sobą *minimum* wydatków fizyologicznych, a zapewniającego poważne korzyści w kierunku zyskania energii życiowej.

Dzięki tej powadze, jaką otrzymuje cukier w świetle badań fizyologicznych, kwestya cukrowa nabiera cech jeszcze żywotniejszych, wywołuje coraz szersze i gorętsze zainteresowanie uczonych, ekonomistów, producentów, rolników i całego świadomego wartości cukru ogółu, jednocząc wszystkich we wspólnem dążeniu do najrozleglejszego rozpowszechnienia tego cennego pokarmu.

M. Z.

Herbert Spencer

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Uczuwamy niepokonaną trudność wtłoczenia w miniaturowe ramy nekrologu olbrzymiej postaci świeżo zmarłego myśliciela. Kto w mędrcach świata nie chce widzieć prawodawców, lecz przewodników myśli, ten musi przyznać, że nikomu z żyjących nie należało się słusznie berło w krainie filozofii, niż Spencerowi. Niepodobieństwem zaś jest uzasadnić to jego prawo krótką wzmianką pozgonną, w której zaledwie zmieścić się mogą ogólne napomknienia o jego licznych i wielkich dziełach, o rozległym i zapładniającym wpływie. Szczęściem należymy do tych społeczeństw, które wcześnie i znacznie ogarnął jego wpływ, które go skwapliwie czytały i przyswajały, śród których on ciągle był obecnym. Dawno przełożyliśmy wiele jego prac na język polski *), a ten ruch, który wniknął do umysłowości naszej jako pozytywizm i ewolucyonizm, wszedł do niej w znacznej mierze pod postacią spenceryzmu. Nadto *Prawda* jest w tem wyjątkowem położeniu, że wielokrotnie zaznajamiała swych czytelników z teoryą i zasługami Spencera (w ostatnich latach numery 9 i 10 z r. 1900), a nadto ich zarysem uzupełniliśmy wydaną przez nas „Historyę filozofii" Kirchnera. Nie potrzebujemy przeto powtarzać o zmarłym rzeczy w naszem kole czytelniczem wiadomych. Ponowić tylko trzeba przyznanie długu wdzięczności wszystkich wolnomyślnych duchów społeczeństwa, które zawdzięczają zmarłemu mistrzowi bardzo wiele promieni światła i silnych pobudzeń, chociażby nawet od pionu jego filozofii znacznie się odchyliły. Dziś już żadna analiza nie wykryje, ile w naszej umysłowości tkwi cząstek i pierwiastków, przejętych od Spencera, którego książki krążą dotąd w szerokich kołach inteligencyi, a niektóre zostały w rozprzedaży wyczerpane. Niepodobna też śmierci myśliciela, któremu tyle jesteśmy winni, zaregestrować z kronikarskim spokojem i należy na jego grób przesłać z oddali wieniec wdzięczny pamięci i serdecznego żalu.

LITERATURA I SZTUKA.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Stanisław Kozłowski: *Reduta*, komedya obyczajowa w 4 aktach.

„Reduta" p. Stanisława Kozłowskiego, wystawiona po raz pierwszy w niedzielę ubiegłą na „poranku" jubileuszowym Bolesława Leszczyńskiego, jest drugą już szczęśliwą próbą zużytkowania upodobań pisarskich autora „Wójta Alberta" i „Turnieju" w dziedzinie komedyi obyczajowej na tle historycznem. Pierwszą była przed dwoma czy trzema laty „Dyana", odtwarzająca z pewnym wdziękiem

*) „Szkice filozoficzne" 1883, „Etyka" 1884, „Jednostka wobec państwa" 1886, „O wychowaniu umysłowem, moralnem i fizycznem" 1890, „Pierwsze zasady," „Zasady socyologii" i „System filozofii syntetycznej" 1886, „Instytucye polityczne" 1891 i inne, w czasopismach rozrzucone.

motylkowate miłostki i intrygi, których widownią był na początku wieku XIX głośny pałacyk „pod blachą.“

W „Reducie“, wprowadzającej nas znów do salonów warszawskich, ale o dwadzieścia lat później (rok 1821), osnowa główna, rozsnuta na tle przygód sercowych przekwitłej piękności ówczesnej, księżnej Zajączkowej, jest równie błaha, jak w „Dyanie,“ charaktery występujące odznaczają się zwykłym u p. Kozłowskiego brakiem pogłębienia, całość nie porywa tą siłą i prawdą życia, które są znamionami wyższego talentu. Mimo to jednak nowy utwór wywiera naogół wrażenie miłe. Unoszą się nad nim świeże wspomnienia bohaterskich walk naszych pod egidą orłów napoleońskich, a zręczne wprowadzenie przez autora posiedzeń Towarzystwa przyjaciół nauk, ech rozpoczynającego się właśnie sporu klasyków z romantykami, oraz szeregu postaci historycznych, ze Staszicem, Niemcewiczem i Osińskiem na czele, nadają komedyi cechę malowniczej dekoracyi czy ilustracyi do znanej powszechnie i — mimo błędy swe wszystkie — owianej dla nas urokiem pewnym chwili dziejowej. Więc też, słuchając tych odgłosów mustr i parad na Saskim placu, tych opowiadań starego wiarusa o nadludzkich wysiłkach poświęcenia i męztwa pod Wagram i Somo-Sierra, tych pieśni miłosnych i elegijnych przy smętnym akompaniamencie gitary, tych pseudo-uczonych tyrad, skierowanych przeciw zapalającej się dopiero zorzy nowej poezyi, i gorących wybuchów jej obrońców, doznaje się chwilami wrażenia, jak gdybyśmy patrzyli na jakiś daleki zachód słońca, w którego łagodnych promieniach zdawała się tonąć scena cała.

Mniejsza o to, że pewne szczegóły zostały tu pomieszane dowolnie, inne niedociągnięte lub przeciwnie, zaakcentowane zbyt silnie bez zachowania miary artystycznej (namiętna np. i niezgodna z prawdą napaść na romantyzm na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk). Ton ogólny epoki, gdy idzie zwłaszcza o jej zewnętrzną, malowniczo-dekoracyjną stronę, uchwycony i oddany został wiernie, a w paru scenach nawet autor zdołał wzbudzić wzruszenie silniejsze. Zaliczyć do nich trzeba wszystkie prawie, gdzie zagrał on żywiej na strunie wspomnień, a więc przedewszystkiem akt drugi, rozgrywający się u panny Ewy Smólskiej, opłakującej od lat kilkunastu narzeczonego swego, który zginął „na polu chwały“ w wąwozie somo-sierskim. Do najpiękniejszych scen utworu należy właśnie opowiadanie majora Bończy o śmierci tej i słynnej szarży szwoleżerów.

Żywy kontrast z tym światem zachodzących słońc, więdnących laurów i kwiatów zasuszonych stanowi brat Ewy, bałamut i hulaka Leon, nie pozbawiony zresztą i sympatyczniejszych rysów, a przytem, jako postać sceniczna, nakreślony wypuklej od innych. Pragnie on, jak sam mówi, „żyć i kochać, nie zarzynać ludzi,“ i czuje się wprost przytłoczonym bohaterstwem lat niedawnych, do jakiego teraz, w epoce reakcyi powszechnej, brak mu zdolności i pola. O Leona właśnie toczy się w akcie czwartym, na „reducie“, jak wtedy nazywano maskarady, wyborna szermierka słowna między dwiema przedstawicielkami zepsutego „świata“ ówczesnego, księżnej Adeli i hrabiny Rozalii, zakończona niespodziewanem zwycięztwem czystej i szlachetnej, lecz szablonowej dosyć Hilaryi.

W takich utworach, jak „Reduta,“ duże znaczenie ma gra artystów, ich charakteryzacya i wogóle wystawa sztuki. Pod tym względem komedya obyczajowa p. St. Kozłowskiego miała warunki jak najlepsze: obsadzono ją, wystawiono (pod reżyseryą p. Żelazowskiego) i odegrano wybornie. Z długiej listy artystów, którzy znaleźli w niej mniejsze lub większe pole do popisu, na wyróżnienie zasługuje zwłaszcza p. Ludowa, wyborna w roli księżnej, oraz p. Rapacki w doskonałej masce Staszica. Jubilat - Leszczyński jest artystą wielkiej miary, znakomitym np. poprostu w tragicznych postaciach Wojewody („Mazepa“ Słowackiego) i Otella, więc też było mu nieco zaciasno w niezupełnie odpowiednim dla niego mundurze weterana z czasów napoleońskich. Deklamował on jednak z siłą i zapałem poprawny, ale zimny trochę wiersz p. Kozłowskiego, stawał energicznie w obronie ukochanego cesarza i śmierć jego opłakiwał boleśnie. Bardzo dobrym Leonem był p. Śliwicki, może nieco za mało dystyngowaną hrabiną — p. Przybyłko, pełnym zapału Wiesławem — p. Roland, milutką Hilaryą — p. Tekla Trapszo. Jubilata i sztukę przyjmowano owacyjnie.

Wł. Bukowiński.

KSIĄŻKI DLA DZIECI.

— Z Bukowiecka: **Stefek Luty w Brazylii** (z 10 rysunkami, nakład Gebethnera i Wolffa, str. 400). Dziecko znalezione na drodze i wychowane przez gminę, wyrasta na dzielnego młodzieńca, którego los zapędza aż do Brazylii, ażeby tam mógł zostać opiekunem i obrońcą swych rodaków biednych, ciemnych, bezradnych emigrantów chłopskich. Zakłada on z nimi kolonię, buduje szałasy, karczuje ziemię, walczy z Indyanami, przechodzi najcięższe koleje, ale w końcu zwycięża: zdobywa dobrobyt dla siebie i dla towarzyszów, wychodzi cało ze wszystkich niebezpieczeństw i pod koniec życia, syt pracy i znaczenia, zostawiwszy synów na gospodarstwie w Brazylii, wraca na resztę dni do kraju, do tego miasteczka, w którem się wychował. Pomimo dość fantastycznego tła ze względu na prawdę życiową, i dość szablonowych pomysłów, książka może podobać się dla awanturniczości opisywanych w niej przygód; nie brak tam bowiem ani Cyganów, którzy kradną dzieci, ani złodziei, wciągających uczciwego chłopca do swych zbrodniczych zamysłów i potem do końca życia poszukujących na nim zemsty za zwichnięcie tych zamiarów, ani wężów jadowitych, od których przychodzi obronić celnym strzałem młodą Indyankę, aby w ten sposób zarobić na jej wdzięczność, ani srogich walk z dzikimi, którzy nie chcą mieć białych w swoim kraju i wielu innych nadzwyczajności— tak jak w powieściach Mayne Reida. Ale też jest dużo ciepła, ogromna miłość dla wszystkiego co swoje, dobre, szlachetne i gorące pragnienie rozbudzenia tej miłości w sercach młodych czytelników.

— A. Gruszecki: **Na druką półkulę** (z ilustracyami. Gebethner i Wolff, str. 223). Znowu Brazylia. Rodzina polskiego rybaka z nad Wisły, oszukana obietnicami naganiaczy, rzuca kawałek uczciwego chleba w kraju, ażeby za morzem szukać złota. Przy drodze już ich dosięga rozczarowanie, a po przybyciu na miejsce nędza, ciężka praca i prawie że śmierć. Z trudem zebrawszy trochę grosza na opłacenie kosztów podróży, wracają wszyscy do kraju. Opowiadanie żywe, proste i tem bardziej zajmujące, że nie wyłazi szydło z worka — morał pedagogiczny.

— Zofia Kowerska: **W Suchowskim dworze** (z ilustracyami, Gebethner i Wolff, str. 246). Niema tu żadnych nadzwyczajnych przygód, lecz takie codzienne życie, jakie można znaleźć w każdym domu na wsi, gdzie są dzieci dobre, inteligentne, rodzice rozumni i całe otoczenie sympatyczne. Lecz na tem tle najzupełniej prostem, z drobiazgów napozór jednostajnych tryska dużo naturalnego humoru i szczerości nierobionej. Brak tylko świeżości niektórym postaciom. Możnaby dać nareszcie emeryturę nauczycielom domowym, tłumaczącym zawsze Homera i tak szablonowo roztargnionym, że do drzwi zamiast klucza wkładają flakoniki, oraz Francuzkom — niedorzecznym i śmiesznym starym pannom.

— C. Niewiadomska: **W kółku rodzinnem** (z ilustracyami, Gebethner i Wolff, str. 191). Jakiś idealny światek. Jakaś oaza szlachetności, rozumu i dobroci, zaludniona przez same dzieci, z których ust lecą wciąż takie perły drogocenne, jak praca, użyteczność, miłosierdzie, których życie od rana do nocy wypełnione jest myślą o drugich, trudem dla drugich, dążeniem do udoskonalenia i uszlachetnienia samych siebie, że zrozumieć nie można, kiedy te dzieci mają jeszcze czas błądzić, grymasić i żyć, jak żyją inne istoty w ich wieku. Za dużo blasku, za dużo doskonałości; tego w prawdziwem życiu mniej bywa. A dzieci należałoby też traktować, jak ludzi.

— Rudyard Kipling: **Takie sobie historyjki,** przekład M. Kreczkowskiej (Gebethner i Wolff, str. 176). Niby dla dzieci napisane bajki o tem, jak powstała gardziel wieloryba — garb wielbłąda — skóra nosorożca — żółwce — w jaki sposób został napisany pierwszy list — wszystkie w rodzaju i z humorem czysto angielskim, którego jednak w tłomaczeniu trzeba się już tylko domyślać. Wyróżnia się w całym zbiorku ostatnia bajka: „Motyl, który tupał nóżką,“ lekkością, wdziękiem i poezyą. Język przekładu niezupełnie poprawny.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Stan obecny kwestyi rolnej.

Zgóry uprzedzić muszę czytelników, że tytuł powyższy jest nieco zbyt obszerny. Nie mogę mieć zamiaru w artykule niniejszym wyczerpania „kwestyi rolnej,“ czyli przedstawienia czytelnikowi szeregu faktów i rozumowań, któreby mu pozwoliły poznać, jakie formy gospodarstwa rolnego w dzisiejszych warunkach upadają, a jakie się rozwijają, jaki jest ogólny kierunek tego rozwoju, jakie niesie on ze sobą cierpienia dla jednych, ulepszenia bytu dla drugich, i wreszcie—jak społeczeństwo ma się zachowywać wobec tego rozwoju, jakie świadome i celowe postępki są w tej dziedzinie pożądane ze strony rządów i osób, względnie zrzeszeń, prywatnych? Taki bowiem splot różnorodnych kwestyj obejmuje t. zw. ogólnie kwestya rolna. Takie badanie może być tylko zadaniem książek i osobnych, specyalnych rozpraw, których też wielka liczba ukazuje się corocznie. Nasze zadanie jest i może być tylko innego rodzaju. Dyskusye o kwestyi rolnej są tak obszerne i złożone, że przeciętnemu, ogólnie wykształconemu człowiekowi ogromnie trudno jest się w nich zoryentować. Chcemy takie zoryentowanie się o ile możności ułatwić, przedstawiając nietyle stan samego gospodarstwa rolnego w różnych krajach, ile stan obecny *poglądów* na kwestyę rolną. Wiadomo bowiem, że zawiera wiele momentów spornych, a toczący się od dawna spór o nie niezawsze przyczynia się do wyjaśnienia rzeczy, lecz często zaciemnia ją częściowo. My postaramy się wedle sił wyjaśnić ją, nie dlatego, żebyśmy mieli przytoczyć jakieś nowe fakty, bo tego się nie podejmujemy, lecz przez próbę wyodrębnienia i czystego postawienia kilku różnych zagadnień, z których się „kwestya rolna“ głównie składa, a które zwykle bywają ze sobą mieszane. Sposobnością zaś do tego przeglądu będą dla nas dwa w r. b. wydane ważne dzieła w tym przedmiocie: po polsku Ludwika Krzywickiego p. t. „Kwestya rolna“ (wyd. Księgarni Naukowej w Warszawie), i po niemiecku — dr. Ed-

warda Davida p. t. „Socialismus und Landwirtschaft. Die Betriebsfrage (Berlin, 1903).

Dzieła te mogą być do pewnego stopnia wzajemnie dla siebie dopełnieniem. Szczególnie, coprawda, dopełnienia potrzebuje książka dr. Davida (dziś już posła do parlamentu rzeszy z Moguncyi), jest ona bowiem — widać to na każdym kroku — napisana w celu udowodnienia pewnej, z góry powziętej tezy, mianowicie wyższości techniczno-produkcyjnej drobnej własności rolnej nad wielką, faktycznego zwycię żania drugiej przez pierwszą we współczesnym rozwoju ekonomicznym, oraz tego wreszcie, że zwycięztwo takie jest dobre, pożądane i że wszelkiemi siłami, konsekwentnie przyczyniać się do niego należy. Nie odbiera jej to oczywiście wielkiej wartości. Jednostronność w pewnych warunkach może być zaletą: jeśli ktoś mianowicie założenie swoje doprowadzi z niewzruszoną logiką aż do ostatnich konsekwencyj, zestawi je ostro i bezwzględnie z poglądem przeciwnym, wyznawanym przez jakiś poważny odłam, a poprze wielkim zasobem, odpowiednio oczywiście przejrzanych, przygotowanych i ustawionych faktów i dat statystycznych, jeśli w dodatku rozporządza darem przenikliwej analizy i jasnego wykładu, to może nie napisać dzieła, z którego uczyć by się było można, może nie rozstrzygnąć kwestyi w całości, ale — znacznie przyczyni się do jej wyjaśnienia, do usunięcia wielu nieporozumień. Te zalety posiada właśnie w jak największym stopniu książka dr. Davida. Zaczyna się ona od zarysu historycznego poglądu na kwestyę rolną stronnictwa, do którego autor należy *). I na tym zresztą podrzędnym punkcie wykazano autorowi jednostronność—aby nie powiedzieć wprost: stronność, bo pomijanie pewnych ważnych cech krytykowanej przez siebie teoryi. Mówimy o tem odrazu na tem miejscu, bo do tej sprawy już później wracać nie zamierzamy. David mianowicie uważa przekonanie Marxa i jego szkoły o nieuniknionem zwycięztwie wielkiej gospodarki rolnej, posługującej się maszynami parowemi, nad gospodarstwem chłopskiem, za rezultat schematycznego jedynie przenoszenia uogólnień, wysnutych z badania rozwoju przemysłowego do dziedziny, która nie może być traktowana analogicznie, tylko posiada zupełnie odrębne warunki i osobno, sama w sobie, powinna być badana. To też, zdaniem Davida, rzeczywistość zupełnie zadała kłam temu schematyzmowi: w rolnictwie koncentracya gospodarstw bynajmniej się nie odbywa, chłopskie gospodarstwo doskonale wytrzymuje konkurencyę z pańskiem, wielkiem, kapitalistycznem. Ale David nie wspomina wcale o tem, że Marx i jego szkoła przyczynę przewidywanego przez nich upadku gospodarstwa chłopskiego upatrywali nietylko w pochłanianiu drobnych gospodarstw przez większe, co istotnie, jeśli się odbywa, to powoli, nie wszędzie, z mnóstwem przeszkód i często w formach, zasłaniających właściwą treść rzeczy, ale i w koniecznem rozdrabnianiu się i tak małych działków chłopskich, które przecie w rzeczywistości odbywa się na dużą skalę. Kautsky zaś w swojej „Agrarfrage“ (1899) wyraźnia już twierdzi, że w ramach teraźniejszego ustroju społecznego ani własność wielka nie może pochłonąć drobnej, ani naodwrót, między innemi dlatego, że dopełniają się one nawzajem: drobni właściciele pracują, jako najemnicy, w wielkich dobrach. Prócz tego, David nie uwzględnił, że w epoce powstawania teoryi Marxa mnóstwo faktów, a przedewszystkiem ciemnota, rutyna i brak kapitału u chłopa, najzupełniej uprawniały przypuszczenie o rychłym jego upadku, dzisiejszy zaś rozwój zasady współdzielczej na wsi w różnych jej formach, to ostatecznie główne, zdaniem Davida, źródło siły odpornej chłopa pomimo zmienionych warunków rynku i obiegu, nie dawał się wcale przewidzieć.

Tyle tylko o historyi poglądów na kwestyę agrarną, która przecież sama przez się mogłaby być przedmiotem specyalnego, bardzo ciekawego i pożytecznego dzieła.

David postawił sobie za zadanie — poprawić schematyzm i jednostronność Marxa i jego szkoły w dziedzinie rolnictwa. Obiera on sobie ten sam punkt wyjścia, co Karol Marx w „Kapitale,“ któremu, pomimo wszystko, oddaje wielką cześć: mianowicie, badanie samego procesu produkcyi, i wykazuje za pomocą analizy istotnie bardzo przenikliwej, w sposób jasny i często przekonywający, że jeśli z natury produkcyi przemysłowej wynika z nieubłaganą koniecznością wyższość produkcyi na wielką skalę nad przedsiebiorstwem drobnem, to w rolniczej produkcyi zupełnie tak nie jest. Jest to, zdaniem mojem, część dzieła najbardziej wartościowa, w której autor rzeczywiście mówi wiele nowego, rzuca nieznane światło na mnóstwo zagadnień. Nie zatrzymujemy się nad temi kwestyami dłużej w tem miejscu, ponieważ będziemy musieli do nich wrócić; powiedzmy więc na razie tylko tyle, że idzie tu o naturalną niemożność przyswojenia sobie przez wielkie gospodarstwo rolne w takim stopniu, jak to robi wielka fabryka, takich czynników wyższości rytmicznej, jak kooperacya (w znaczeniu technicznem), podział pracy i maszynerya, oraz o możliwość przyswojenia ich sobie przez gospodarstwo małe w większym stosunkowo stopniu, niż przez drobny warsztat; dalej, o niemożność dowolnego rozszerzenia produkcyi i pomnożenia liczby produktów, rzucanych na rynek i zabijających słabszego konkurenta. Te wszystkie różnice mają stąd wynikać — co już jest mniej przekonywające — że produkcya rolnicza nie jest wyrobem *mechanicznym*, lecz tylko stwarzaniem pomyślnych warunków dla naturalnego procesu *organicznego* i korzystaniem z owoców tego procesu. Żywe istoty organiczne, z któremi gospodarka wiejska ma do czynienia (zarówno rośliny, jak zwierzęta) wymagają troskliwości i indywidualizacyi, do której drobny gospodarz o wiele jest zdolniejszy, niż parobek wielkiego folwarku, tem bardziej, jeśli pierwszy pracuje na swojem, a drugi jest obojętnym na dobro pańskie najemnikiem. Ta różnica uwydatnia się szczególniej przy przejściu od gospodarki ekstensywnej do intensywnej i od przedmiotów uprawy, wchłaniających w siebie niewiele pracy ludzkiej, czyli stosunkowo tanich, jak zboże, do kosztownych i wiele różnorodnej pracy i pieczy wymagających, jak jarzyny i owoce. A właśnie warunki historyczne—wtargnięcie zbóż zamorskich, uprawianych na świeżej, dziewiczej ziemi ze znacznie mniejszym nakładem — zmuszają stare kraje europejskie do wyrzeczenia się w znacznym stopniu, jeśli już nie całkowicie, uprawy zbóż, przynajmniej dla rynku wszechświatowego, i każą im przejść do gospodarki intensywnej, do produkcyi niejako ogrodowej. Wielka własność, niezdolna do tej ewolucyi, bankrutuje, i tylko stronna, dla szerokich mas spożywców szkodliwa opieka rządów ratuje ją jeszcze tymczasowo od upadku, drobne gospodarstwa wychodzą z kryzysu zwycięzko. Trzeba z całych sił popierać tę ewolucyę; trzeba wprost żądać, wbrew programowi dotychczasowemu, parcelacyi wielkich dóbr na działki, mogące zatrudnić i wyżywić jedną rodzinę robotników. Do nieodzownych wymagań zorganizowanego, wielkiego rynku potrafią się te drobne gospodarstwa zastosować za pomocą systemu zrzeszeń, bo już weszły na tę drogę i złożyły świadectwo tej zdolności; zrzeszenie pozwoli im też korzystać ze zdobyczy nauki rolniczej — chemii, biologii, geologii — które dla rozwoju produkcyi rolnej mają daleko większe znaczenie, niż wynalazki techniczne. Być też może, że kiedyś, w przyszłości, przeszedłszy przez szkołę takiej kooperacyi częściowej, drobni rolnicy zdecydują się dobrowolnie na zrzeszenie samej uprawy, samych gruntów.

Inny jest charakter książki p. Ludwika Krzywickiego i inny zaraz jego punkt wyjścia. W toku wykładu zwraca on też pobieżnie uwagę na różnice między przemysłem a rolnictwem, co do czynników wyższości wytwórczej większego przedsiebiorstwa, ale widocznie tej stronie kwestyi nie przypisuje—i, zdaniem naszem, słusznie — decydującego znaczenia. Zatytułowawszy rzecz swoją: „Kwestya rolna: *przewrót w produkcyi środków spożywczych w drugiej połowie wieku XIX,*“ zaczyna od pobudki społecznej tego przewrotu — zwiększonego kolosalnie i zarazem zmienionego zapotrzebowania środków spożywczych wskutek nietylko wzrostu ludności, lecz skoncentrowania jej w przemyśle fabrycznym i w wielkich miastach. Dostawa musi odtąd odbywać się w wielkich ilościach i nadewszystko — regularnie, co pociąga za sobą przewrót w organizacyi dostawy, czyli w młynarstwie, rzeźnictwie, maślarstwie itp. Wszędzie tu odbywa się centralizacya, powstawanie przedsiebiorstw wielkokapitalistycznych. Z drugiej strony ani wzmocnione niezaprzeczenie napięcie uprawy, ani rozszerzenie powierzchni, pod uprawę w starej Europie zajętej, nie mogły zaspokoić olbrzymio zwiększonego zapotrzebowania; odpowiedziało mu dopiero zajęcie pod uprawę nowych, ogromnych a dziewiczo-urodzajnych gruntów w koloniach. Tam, wolna od powijaków tradycyi i mnóstwa przeszkód, tkwiących w istniejącym podziale gruntów, prowadzona przez ludność, co już przeszła szkołę przemysłu i przyzwyczajona była do korzystania z udoskonaleń i ulg technicznych, mogła rozwinąć się gospodarka wielka, która dziś jest, prawda, w znacznej części jeszcze rabunkową, ale niezawsze będzie taką i nietylko dlatego ma charakter wielko-kapitalistyczny i wyższość wytwórczą. Wielkość zapotrzebowania i zcentralizowana organizacya handlu i przemysłów przetwórczych popychają gospodarzy, i to nietylko w koloniach, ale i w Europie, do planowych starań o podniesienie wydajności zarówno gruntów, jak każdej rośliny lub gatunku zwierzęcego; wielkie gospodarstwo urzeczywistnia i jest w możności urzeczywistniać te postępy zootechniki; drobne, aby je osiągnąć, musi dopiero wejść na drogę zrzeszenia, co też w Europie poczęści zaczęto robić. Badając w dalszym ciągu wpływ tego całego przewrotu na stosunki społeczno-rolnicze w Europie, autor rozpatruje starannie różne kraje i różne kategorye gospodarstw, a stwierdzając powszechne powstrzymanie się procesu wywłaszczania włościan, zaznacza, że jest ono poczęści tylko pozornem, ponieważ zamiast faktycznego wywłaszczania często zjawia się odłużenie, a o ile jest rzeczywistem, to p. Krzywicki przypisuje je nie wyższości technicznej drobnej uprawy nad wielką, lecz raczej rozdrabnianiu się gruntów chłopskich wskutek działów, kupowaniu parcel przez robotników fabrycznych w celu zaspokojenia potrzeb rodziny, wreszcie — większej pracy i mniejszym potrzebom wieśniaka, który może gospodarować bez renty ani zysku kapitalistycznego, tylko za cenę swej pracy. Wreszcie autor bada wpływ przemysłu na rolnictwo i formy społeczne w tej dziedzinie. Do tego wszystkiego powrócimy jeszcze; zamierzamy bowiem w następnych artykułach rozważyć przedewszyst-

*) Ten rozdział dzieła, będący wstępem do niego, został już wydany po polsku wraz z odczytem Davida, mianym w Wiedniu, a streszczającym jego poglądy („Dwie rozprawki,“ spolszczone przez dr. Wł. Gumplowicza, Lwów, 1904) Tenże tłomacz zapowiada rychłe wydanie dzieła Davida.

kiem dwa zagadnienia: 1) jaka gospodarka na roli jest produkcyjniejsza, brana sama w sobie, z punktu widzenia czysto techniczno-ekonomicznego, czy na większych, czy na mniejszych przestrzeniach? 2) jaki los spotyka *w dzisiejszych warunkach społecznych* gospodarstwa wielkie i drobne, i jakie są widoki przyszłości dla każdej z tych kategoryj?

P. Krzywicki miał oczywiście również pewne ustalone poglądy na przyszłość rolnictwa i związane z nimi sympatye, gdy przystępował do pisania swej książki; jest on bowiem autorem słynnych „Złudzeń demokratycznych," drukowanych w *Prawdzie* w r. 1889, które zresztą należałoby raczej zatytułować: „Złudzenia chłopomanów," i które właśnie dlatego wywołały tak długą i ostrą polemikę z ówczesnym *Głosem*. Ale bezstronność nakazuje przyznać, że książka jego pisana jest z całą, możliwą w rzeczach społecznych objektywnością. Autor jest bardzo ostrożny we wnioskowaniach i uogólnieniach; bardzo często spotykamy się z zastrzeżeniami, że o tej a tej kwestyi poszczególnej sądu wydać nie może, że pozostawia go przyszłości itp. Ponieważ przytem w książce, pisanej jasno, przejrzyście, zbudowanej podług planu logicznego, zużytkowany jest i opracowany, na stosunkowo niewielkiej ilości stronic, ogromny i wszechstronny materyał, więc, chociaż nie zawiera ona poglądów nowych, punktów widzenia oryginalnych, jednak mogę śmiało polecić ją każdemu, kto potrzebuje encyklopedycznego podręcznika, uczącego i wprowadzającego do studyów samodzielnych.

Kwestya techniczna.

Obiecaliśmy sobie rozpatrzeć przedewszystkiem zagadnienie, jaka forma gospodarstwa rolnego jest produkcyjniejsza: na przestrzeni mniejszej, czy większej. Idzie nam o postawienie zagadnienia w czystej i ścisłej formie, tak aby było ono tylko techniczno-ekonomicznem, a nie społecznem, aby było niezależnem nie od warunków społecznych wogóle, bo to jest niemożliwe, ponieważ warunki te określają samą technikę i naturę ekonomicznego kierownictwa i organizacyi przedsiebiorstw, lecz od *ustroju* społecznego, nadającego *pracy* na pewnym kawałku ziemi taki lub inny charakter. Dziś bowiem gospodarz drobny jest przeważnie samodzielnym, robotnik wielkiego folwarku — najemnikiem; ale przecież można sobie doskonale wyobrazić stosunki, w których gospodarz na całym kawałku ziemi jest np. niewolnikiem, nic dla siebie nieotrzymującym, a robotnicy wielkiego folwarku — wolnymi współwłaścicielami. Jeśli chcemy sobie zdać sprawę z technicznej wyższości lub niższości gospodarowania na wielkiej lub małej przestrzeni, to musimy tymczasem pozostawić na stronie ten czynnik pracy społecznego charakteru, a raczej — przypuścić go jednakowym we wszystkich wypadkach, o ile oczywiście zależy on od warunków zewnętrznych, tkwiących w ustroju społecznym, a nie wynika koniecznie z samej natury gospodarstwa małego lub wielkiego. Zaznaczamy przytem, również dla jasności, że pod gospodarstwem rolnem rozumiemy tu jedynie „wytwarzanie" — właściwiej jest powiedzieć: hodowlę — roślin i zwierząt, nie zaś przerabianie ich na produkty, nadające się do spożycia lub innego spożytkowania. Jednakowoż przy dalszej ocenie wartości społecznej różnych form, lub ściślej: rozmiarów gospodarstwa rolnego, trzeba będzie uwzględnić także większą lub mniejszą łatwość i dogodność tej dalszej przeróbki i obiegu wytworów, tkwiących w każdej formie.

Jeśli porównywamy przedsiebiorstwa przemysłowe różnych rozmiarów, to większe posiada cały szereg źródeł wyższości produkcyjnej nad mniejszem, źródeł, które szczegółowo zbadał Marx w „Kapitale." Przedewszystkiem, samo połączenie większej liczby robotników pod jednym dachem, w jednym warsztacie, pomnaża ich siłę wytwórczą wskutek rywalizacyi, wzajemnej kontroli, wogóle — atmosfery pracy, która się tu pojawia. Umożliwia ono wykonywanie na większą skalę pewnych robót, wymagających sił zbiorowych, oraz tej samej choćby roboty, lecz w większej ilości i w szybkim terminie, co często jest bardzo ważne. Dopiero zrzeszenie pewnej ilości robotników, zależnej w każdym wypadku od fachu i warunków technicznych, umożliwia ten podział pracy, tę wyższą formę kooperacyi. Specyalizacya robotnika podnosi niezmiernie jego wytwórczość, tem bardziej, że wywołuje udoskonalanie się wyspecyalizowanych narzędzi. Obydwie formy kooperacyi, prosta — robotników jednego rodzaju, i złożona — połączona z podziałem pracy, umożliwiają ogromne oszczędności nietylko na czasie— mianowicie usunięcie wszystkich nieprodukcyjnych przerw w robocie, potrzebnych do przechodzenia od jednego zajęcia do drugiego — ale i na zajętej pod produkcyę przestrzeni, na budynkach, opale, oświetleniu, nawet zarządzie: bo pomimo pewnych, nowych funkcyj, nieznanych drobnemu warsztatowi, ilość pracy, użytej tu na sprowadzenie i rozdanie materyału surowego i na przygotowanie gotowego produktu do odbioru, jest mniejsza. Wreszcie dopiero na pewnym stopniu wielkości przedsiebiorstwa możliwe jest użycie maszyn, zaoszczędzających pracę ludzką. Wymagania podziału pracy z jednej, a kooperacyi i jednolitego kierownictwa z drugiej strony, pchnęły rozwój maszyneryi w kierunku wytworzenia systemu skombinowanych maszyn specyalnych z motorem centralnym; rozmiary i koszt takiego systemu czynią jego użycie możliwem znów dopiero w wielkim zakładzie, a jednocześnie przez coraz większą oszczędność pracy dają zakładom wyższość wytwórczą, proporcyonalną do ich wielkości.

(C. d. n.)

Dr. K. Krauz.

PRASA ROSYJSKA.

Czytamy w *Pet. Wied.*:

„Władze administracyjne w Petersburgu uciekają się do najsurowszych środków celem wytępienia łotrostwa ulicznego. Sędziowie przysięgli bynajmniej nie pobłażają nicponiom i ostatnimi czasy odmawiają im okoliczności łagodzących. A jednak nasi „chunchuzowie" mnożą się i stają się coraz bardziej zuchwałymi. Do szczytu zaś łotrostwo uliczne doszło w Warszawie. Według półurzędowego *Warsz. Dniewnika*, mieszkańcy przedmieść i okolic podmiejskich tylko w razie nieodzownej konieczności ważą się wędrować wieczorem do miasta i np. wybrawszy się do teatru lub w gościnę, przyjeżdżają do Warszawy, zanim zmrok zapadnie i pozostają tam już na noc. Prawie 30% klientów Pogotowia ratunkowego stanowią ofiary nożowców...

Przy czytaniu takich rzeczy skóra poprostu cierpnie. Warszawa przecież to nie Kaukaz, gdzie, według niektórych gazet, niemasz ani cywilizacyi, ani inteligencyi, ani urzędników rosyjskich, a gdzie są tylko krajowcy i rozbójnicy. Warszawa jest przecież miastem kulturalnem, rzec można europejskiem, aliści... okazuje się, że to miasto kulturalne *wydaje na oświatę ludową nic więcej, jak 2% swego poważnego budżetu.*

Okoliczność ta nasuwa myśl o istnieniu bezpośredniego związku pomiędzy stopniem oświaty niższych warstw ludności miejskiej a stałym wzrostem łotrostwa. Jeżeli zaś do ciemnoty, całkiem zrozumiałej wobec mniej, niż homeopatycznych funduszów na oświatę przeznaczonych, dołączymy brak szkół zawodowych— to stanie się jasnem podłoże, na którem bujnie wzrasta „nożownictwo," a z drugiej strony rodzaj środków, mogących powstrzymać dalsze szerzenie się zła."

(*Kur. Warsz.*).

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Warsz. Dn.* donosi, że ministeryum spraw wewnętrznych, wobec wprowadzonego z Nowym Rokiem prawa o ubezpieczeniu robotników, przystąpiło do zbierania wiadomości o charakterze działalności i o solidności pod względem materyalnym stowarzyszeń i instytucyj, trudniących się ubezpieczeniem robotników. W naszym kraju, oprócz jednego takiego stowarzyszenia ubezpieczeń o charakterze handlowym, istnieje 28 kas, dwojakiego typu, mianowicie: kasy, w celu wydawania zapomóg robotnikom na wypadek choroby, i kasy, wydające zapomogi w wypadkach utraty zdolności do pracy, bez względu na przyczyny, z jakich ta niezdolność powstała; ustawy tych kas wzorowane są na ustawach podobnych instytucyj w Austryi i Niemczech, w okręgach górniczych, do których robotnicy mają zaufanie, biorą w nich chętnie udział, skutkiem czego istnienie tych kas stało się istotną potrzebą każdego większego przedsiebiorstwa przemysłowego. Tego rodzaju kasom dają też pierwszeństwo sami przemysłowcy przed stowarzyszeniami ubezpieczeniowemi i coraz częściej występują o pozwolenie na ich otwarcie.

— Warszawski zarząd celny otrzymał polecenie, aby za świadectwa pasportowe, wydawane przez konsulów rosyjskich w zamian za pasporty wydane za granicą, komory celne ściągały od przyjezdnych nietylko za same świadectwa, od dnia ich wydania, ale także i za każde półrocze przedłużenia pasportu.

— W *Kur. Warsz.* czytamy: „Na pamiątkę pobytu twórcy „Halki" w Wilnie jedną z ulic na Zwierzyńcu, a mianowicie Ekateryneńską, nazwano ulicą Moniuszki. Obecnie — jak donosi *Wilenskij Wiest.* — właściciele domów na tej ulicy odwołali się do gubernatora wileńskiego z prośbą o zniesienie nazwy Moniuszki, a przywrócenie dawnej — Ekateryneńskiej. Gubernator polecił radzie miejskiej rozpoznać tę prośbę."

— W gazecie *Char. gub. wied.* ogłoszono następujące rozporządzenie gubernatora charkowskiego: „Właściciele fabryk i zakładów rzemieślniczych, jako też dzierżawcy i dyrektorzy obowiązani są baczyć pilnie, aby wśród podwładnych im robotników nie zjawiali się krzewiciele szkodliwych poglądów lub pogłosek, burzących spokój publiczny; w razie wykrycia takich osób, winni niezwłocznie zawiadamiać o nich policyę, starając się nie wypuszczać podejrzanych z pod swojej obserwacyi i, o ile tylko można, zachowywać dowody przestępstwa, jako to zakazane książki rękopisy itp."

— P. Wacław Mańkowski, obywatel ziemski z gub. Podolskiej, fundator domu pracy dla chłopców nieletnich, na Pradze, dopełnił poprzedniej ofiary nową w sumie 105,000 rb., od której procenty dostarczą środków na utrzymanie 300 pensyonarzy i na na stypendya dla pragnących kształcić się wyżej, w naukach lub rzemiosłach, po opuszczeniu zakładu.

— Pisma wiedeńskie donoszą, że wierzyciele ks. Stojałowskiego zarządzili sekwestr na „Dom polski," w Białej i połączone z nim przedsiebiorstwa.

Odczyty. W Częstochowie i w Piotrkowie odbyły się odczyty na powodzian pp. Sienkiewicza, Radziszewskiego, Balińskiego, Lewickiego.

Z sądów. D. 7 b. m. zapadł wyrok w sprawie fałszerzy 500-rublówek, skazujący: Glassa, Artazowa, Hertza i Ellenbanda na 10 lat ciężkich robót z pozbawieniem wszystkich praw, Pinczewskiego i Hincha — na 8 lat, Sokulskiego — na 6 lat.

Z Poznańskiego. Sąd ławniczy w Bytomiu skazał przewodniczącego „Sokoła" na 60 marek kary lub 10 dni więzienia za to, że przyjął w poczet członków kobiety. Prócz tego Towarzystwo ma być rozwiązane.

— Izba karna w Bytomiu skazała wydawcę *Górnoślązaka*, p. Kowalczyka, na 6 tygodni, a zecera Zię-

taka na 4 tygodnie więzienia — pierwszego za to, że pozwolił podpisywać, a drugiego — że podpisywał gazetę, jako redaktor odpowiedzialny, nie mając potrzebnych kwalifikacyj.

— Dyrekcya kolejowa w Bydgoszczy zaleciła swoim urzędnikom bywania na wykładach do akademii niemieckiej w Poznaniu; na ten czas otrzymywać będą urlopy.

— W Lesznie ma powstać katolickie, żeńskie seminaryum nauczycielskie.

Szkoły i wychowanie. Komitet naukowy ministeryum oświaty rozpoznawał sprawę uczenia się języków nowożytnych przez uczniów III klasy gimnazyów, którzy pozostali na drugi rok, a w roku poprzednim uczyli się tylko jednego języka nowożytnego. Z uwagi na to, iż uczniom takim byłoby nader trudno dogonić kolegów w nauce drugiego języka, uznano za właściwe zwolnić ich od uczenia się drugiego języka nowożytnego. Tę uchwałę minister oświaty zatwierdził i zalecił do wykonania.

— Staraniem kilku drukarzy i litografów otworzono w Krakowie zawodowe kursy drukarskie.

— W Krakowie powstały „Powszechne wykłady uniwersyteckie“ w celu szerzenia oświaty wśród warstw najszerszych, tak na miejscu, jak w miastach prowincyonalnych. Cenę wstępu oznaczono na 10 halerzy.

Wiadomości naukowe. Komitet Kasy Mianowskiego przyznał nagrodę 600 rb. im. Pawińskiego z fundacyi St. Rotwanda i H. Wawelberga, p. Adamowi Szelągowskiemu za dzieło p. t. „Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII w. w Polsce.“

— Nagrodę literacką z zapisu Nobla na r. b. uniwersyt sztokholmski przyznał w połowie Björnsonowi i Ibsenowi.

— Od d. 4 do 9 kwietnia r. p. odbędzie się w Norymberdze międzynarodowy zjazd hygieny szkolnej, który obejmie 10 następujących sekcyj: 1) hygienę budynków i urządzeń szkolnych; 2) hygienę internatów; 3) hygieniczne metody badania; 4) hygienę nauczania i środków naukowych; 5) naukę hygieny dla uczniów i nauczycieli; 6) fizyczne wychowanie młodzieży; 7) stan zdrowotny szkół, choroby szkolne, dozór lekarski w szkołach; 8) szkoły dla dzieci słabo rozwiniętych, kursa równoległe i powtarzające, kursa dla ociemniałych, głuchoniemych i ułomnych; 9) hygienę młodzieży po za szkołą, kolonie wakacyjne, zebrania i stowarzyszenia dla propagowania zasad hygieny; 10) hygiena gron nauczycielskich. Karta uczestnictwa kosztować będzie 25 fr. Zgłoszenia przyjmuje dr. Odo Bujwid w Krakowie, ul. Kolejowa nr. 3.

Ze sztuki. Tow. Zachęty ogłasza konkurs na dzieła malarskie, ornamentyki i reprodukcye graficzne, wykonane w ciągu ostatnich 3 lat i niewystawione publicznie, mianowicie: A) Z działu malarstwa: obrazy olejne, akwarele, pastele, kartony i rysunki. B) Z działu ornamentyki: 1) malarskiej: wszelkiego rodzaju malowania lub rysunki w skład ozdobnictwa wchodzące; 2) plastycznej: ornamentacye rzeźbiarskie lub snycerskie różnych stylów i C) z działu reprodukcyj graficznych: sztychy, drzeworyty, akwaforty, litografie, prace grawerskie itp. reprodukcye obrazów, rysunków i rzeźb, z wyłączeniem wszystkich sposobów, za pomocą fotografii wykonanych. Prace artystów zmarłych nie będą przyjmowane. Za dzieła konkursowe, mające istotną wartość artystyczną, przeznaczone są nagrody pieniężne: w dziale malarstwa — trzy: 400, 200 i 100; w działach: ornamentyki malarskiej, ornamentyki plastycznej i reprodukcyi graficznych po jednej nagrodzie, w kwocie rb. 100 w każdym, oraz za prace działu graficznego nagroda, bezimiennie wyznaczona, rb. 50. Prace nadsyłane być winny do lokalu wystawy Towarzystwa najpóźniej do d. 1 kwietnia 1904 r.

— W Łodzi urządzono wystawę sztuk pięknych w celu przysporzenia dochodu miejscowemu Tow. przeciwżebraczemu.

Zdrowie publiczne: W Moskwie otworzono lecznicę dla rakowatych.

— Na międzynarodowym kongresie sanitarnym w Paryżu postanowiono utworzyć w stolicy Francyi biuro do spraw specyalnych wszystkich krajów.

Sprawy ekonomiczne. Dnia 5 grudnia otworzono w Wiedniu stałą wystawę galicyjskiego przemysłu artystycznego i domowego.

Poczta. Od Nowego Roku ustanowiona będzie następująca taksa za przekazy pocztowe: do 25 rb. 15 kop., od 25 do 100 rb. 25 kop., od 100 do 125 rb. 40 k., od 125 do 200 rb., 50 kop., 200 do 225 rb. 65 k., od 225 rb. do 300 rb. 75 kop., od 300 do 325 rb. 90 kop., od 325 do 400 rb. 1 rb., od 400 do 425 rb. 1 rb. 15 kop. i od 425 do 500 rb. 1 rb. 25 kop.

Katastrofy. Na kolei Warszawsko - Wiedeńskiej w pociągu, idącym od Aleksandrowa, wybuchł pożar w wagonie pocztowym; 250 posyłek zagranicznych, kilka worków z korespondencyą zwykłą i gazetami, oraz część listów rekomendowanych uległy zniszczeniu.

— Na kolei podziemnej w Paryżu spalił się znowu pociąg — podróżni wyszli cało.

— W Brooklynie zgorzał teatr „Music Academy.“

Zmarli. Gustaw Czajewski, dziennikarz, w Warszawie.

— Jan Mrozowski, magister i asesor farmacyi, b. redaktor *Wiad. farmaceutycznych.*

— Dr. Jan Czerwiński, założyciel krakowskiej *Reformy*, w Abbazyi.

— Karol Wolff, redaktor dziennika *Neueste Wiener Tagblatt*, z pochodzenia Ślązak.

OFIARY.

Na powodzian: Dr. Wołożyński z Kochanowa rb. 5.

OGŁOSZENIA.

Pamiętnik NAGIEJ PRAWDY.

Z niektórych mów adwokackich w procesie fałszerzy pieniędzy wyłonił się wzór obrony, który należy utrwalić dla przyszłych kapłanów Palestry.

Panowie sędziowie! Mógłbym bez trudu obronić mojego czcigodnego klienta bądź ze stanowiska determinizmu, zaprzeczającego wolnej woli, bądź ze stanowiska miłosierdzia, rozgrzeszającego wszelkie winy. Ale ja pominę te wygodne punkty widzenia i w poczuciu słuszności oprę się śmiało na gruncie prawnym.

Powiedziano wam, że zacny obywatel kraju, siedzący obecnie na ławie oskarżonych, przyznał się do podrabiania pieniędzy. Ale czy można przywiązywać jakąkolwiek wagę do wyznań delikatnego, wrażliwego, niepokalanego człowieka, który jest nagle zaaresztowany, przestraszony, badany przez inkwirentów, wlepiających w niego przenikliwe i podejrzliwe oczy?

Kodeks wyraźnie zabrania impertynenckich spojrzeń i podstępnych pytań, wszelkiego przymusu i niegrzeczności ze strony organów śledczych, poczytując za materyał dowodowy tylko to, co pociągnięty do odpowiedzialności, sam dobrowolnie wypowie przeciwko sobie po ochłonięciu z trwogi, po długim i dojrzałym namyśle, a zwłaszcza po naradzie z adwokatem. Otóż, mój szanowny mocodawca oświadczył stanowczo przed wami, że nietylko nie fabrykował pieniędzy, ale nawet na każdym posiadanym banknocie dla przestrogi innych podkreślał czerwonym ołówkiem wyrazy, grożące ciężką karą za podrabianie. Czy zaś te wysoce etyczne podkreślania można nazwać fałszerstwem?

Oskarżono nadto mojego dostojnego klienta o uczestnictwo w bandzie fałszerzów, mających zaszczyt siedzieć obok niego w tej sprawie. Jest to pomówienie bardzo lekkomyślne. Należycie rozumiane wyroki Senatu jasno orzekają, że pod imieniem „bandy“ należy pojmować taki związek, którego członkowie zawrą u rejenta odpowiednią umowę w celach przestępnych, zamieszkają w jednym domu, odwiedzać się będą co najmniej raz na dzień, będą używali wzajemnie swoich ubrań i przez małżeństwa osobiste lub swych dzieci połączą się węzłami powinowactwa. Powinni oni przytem posiadać wspólną kasę, a o udziale wszystkich w każdym karygodnym czynie zaświadczać protokólarnie. Gdzież my w obecnym procesie znajdujemy dowody istnienia takiej spółki, gdzież są akty stwierdzające jej działalność?

Akt oskarżenia kładzie nacisk na to, że u mojego wzniosłego męczennika i jego towarzyszów znaleziono podrobione pieniądze. Jakim to prawo zobowiązuje obywateli do rozróżniania banknotów prawdziwych? Czy kto z nas może przysiądz, że nie kupił nigdy skradzionego kwiatka i nie ofiarował go swej oblubienicy? Panowie sędziowie czy jesteście pewni, że materyał waszej odzieży jest wyrobiony z rzetelnej wełny? Czy nie pijecie codzień fałszowanego mleka? A przecież ani sami nie uznajecie się z tego powodu za winnych, ani nikt nie myśli was za to oskarżać. W stanie podobnej niewinności znajduje się mój moralnie przeczysty bohater obecnej tragedyi. To też żądam, ażeby ście go nietylko uwolnili, ale wyprzągłszy konie z dorożki na gumach, zaciągnęli sami do domu, a ja gotów jestem usiąść na kozle i furmanić. (Skutek tej obrony: czcigodny obywatel skazany na 10 lat ciężkich robót).

(C. d. n.).

G. B. W. P. D.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 27 Ноября 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.